

Powiat



Nr 11-12 (165-166), Listopad-Grudzień 2014
Rok XIV * ISSN 1730-7686

SŁUPSKI



*Niech Święta Bożego
Narodzenia przyniosą
wiele radości, szczęścia
oraz wszelkiej pomyślności,
a kolejny rok niech będzie
czasem nowych wyzwań,
sukcesów prywatnych
i zawodowych.*



PIERWSZA SESJA RADY POWIATU
SŁUPSK, GRUDZIEŃ 2014



Drodzy Czytelnicy!

Dziękuję za zaufanie i za wybranie mnie oraz pięciu innych przedstawicieli Porozumienia Samorządowego do Rady Powiatu Słupskiego. Tak dobry wynik wyborczy i zawiązane porozumienie z Platformą Obywatelską sprawiły, że mogłem ponownie zostać starostą słupskim. Przypomnę, że funkcję tę pełniłem już w latach 2002 - 2006. Minione od tego czasu osiem lat pokazało, że warto było poświęcić jej pracy w samorządzie, bo zaowocowały ponownym wyborem na starostę powiatowego.

Z tego bardzo się cieszę i ponowny wybór na starostę traktuję jako ogromne zobowiązanie do dalszej pracy na rzecz naszego powiatu. Cieszę się też, że po tych ośmiu latach będę mógł znowu komentować w tym miejscu najważniejsze wydarzenia i dzielić się swoimi przemyśleniami na temat pracy samorządowej.

Jestem przekonany, że nowy wicestarosta, cały Zarząd Powiatu i pozostali radni Porozumienia Samorządowego oraz Platformy Obywatelskiej będą wspierać mnie w działaniach. Za główny cel stawiać będę zawsze dalszy rozwój powiatu i dobro naszych mieszkańców. Chcę działać ponad podziałami, jestem człowiekiem otwartym na współpracę i liczę, że do tego konstruktywnego działania dołączą także pozostali radni i będą proponować rozwiązania służące ogólnemu dobru.

Bardzo odpowiada mi myśl autora jednego z drukowanych w tym numerze biuletynu powyborczych artykułów. „Rolą i zadaniem opozycji w demokratycznym państwie nie jest walka z władzą, negowanie wszystkich jej zamierzeń i poczynań, lecz wspomaganie, by jak najlepiej mogła spełniać swoje zadania. Propozycja alternatywnych rozwiązań, dyskusje programowe, spory ideowe, rzetelne wykonywanie powierzonych zadań, oto prawdziwe oblicze właściwie rozumianej opozycji. W taki sposób może ona i powinna brać udział w rządzeniu, ponosić część odpowiedzialności za skuteczność i wizerunek władzy”.

Nie namawiam oczywiście nikogo do tworzenia opozycji w naszej Radzie Powiatu, ale jeżeli już ma powstać, to życzyłbym, aby taką właśnie przyjęła rolę. Bo z takiego działania będzie nasz powiat miał najwięcej.

Zachęcam do przeczytania całego artykułu Zdzisława Opalki i do refleksji na zaproponowany przez niego powyborczy temat. Ja sam się już jej poddałem.

Z okazji zbliżających się Świąt Bożego Narodzenia życzę wszystkim udanego rodzinnego świętowania, a z okazji zbliżającego się Nowego Roku 2015 - zdrowia i wszelkiej pomyślności. Niech wszystkim darzy się dobrze!

Zdzisław Kołodziejski
Starosta Słupski

W numerze:

- Nowe władze powiatu 4
- Składy Komisji Rady Powiatu Słupskiego.... 5
- Co po wyborach? 6
- „Cisza” powyborcza - moje cztery zasadnicze uwagi 8
- Smerfne Mikołajki z Sową..... 10
- Pomorski stół bożonarodzeniowy..... 10
- Zdrowo żyć 11
- Uzależnieni od... teatru? 11
- Odkrywanie przeszłości 12
- Nowi Kolumbowie 12
- Kantabria zachwyca..... 13
- Zwykła gra, czy poker Putina? 14
- Poskromienie byka, czyli abc ekonomii... 15
- Kreatywna turystyka 16
- Historia musi być prawdziwa..... 18
- Czy będzie tablica dla Joachima Schwarza? 19
- Dlaczego tak lubimy Halloween? 20
- Adwent, czyli czas oczekiwania..... 21
- Co zostało z tych lat? 22
- A duchy ich sfruną aniołami... 23
- Za prawdę i piękno 24
- Losy zapisane..... 26
- Oczami matki..... 27
- Tak to widzę. Nad książką Jana Maziejuka..... 28
- Mam dar patrzenia na świat 30
- Tworzył obrazy pełne symbolicznych znaczeń..... 32
- Witkacy zrujnował moje szkolne wyobrażenie o literaturze..... 34
- Książka dodaje sił i zapału 36
- Bajkowa artystka..... 37
- Spełnione marzenie lidera muzykujących dinozaurów..... 38
- Dobrobyt Norwegów jest widoczny 40
- Moja droga do szkoły..... 42

„POWIAT SŁUPSKI” - Biuletyn Informacyjny

Wydawca: Starostwo Powiatowe w Słupsku. Redaguje: **Zbigniew Babiarcz-Zych**. Adres redakcji: Wydział Polityki Społecznej, Starostwo Powiatowe, 76-200 Słupsk, ul. Szarych Szeregów 14, tel. 59 841 85 53, faks 59 842 71 11; e-mail: zych@powiat.slupsk.pl; Skład komputerowy i łamanie: **Artur Wróblewski**. Zdjęcia: **Jan Maziejuk**. Druk: **PASAŻ** Sp. z o.o., ul. Rydlówka 24, 30-363 Kraków. Na okładkach: Nowi radni powiatu słupskiego; Smerfne Mikołajki z Sową.

Biuletyn rozsyłany jest do radnych, parlamentarzystów, sołtysów, jednostek OSP, szkół, domów kultury, jednostek organizacyjnych powiatu, firm biznesowych oraz urzędów miast i gmin. Zamieszczany jest również na stronie internetowej: www.powiat.slupsk.pl

1 grudnia br. odbyła się pierwsza sesja nowo wybranej Rady Powiatu Słupskiego

Nowe władze powiatu

Sesja rozpoczęła się od złożenia ślubowania przez nowych radnych. Ślubowanie złożyli Joanna Chabowska, Paweł Gonera, Grzegorz Grabowski, Maciej Karaś, Maria Kobylarz, Zdzisław Kołodziej-ski, Marek Kołtun, Rafał Konon, Andrzej Kordylas, Wojciech Krasucki, Jan Leończuk, Paweł Lisowski, Jan Olech, Bożena Przybo-rowska, Edward Sasko, Tomasz Świtek, An-drzej Zawada, Barbara Zawadzka, Stanisław Zieliński i Sławomir Ziemianowicz. Dawid Litwin złożył mandat radnego, ponieważ w drugiej turze wyborów został wójtem gmi-ny Potęgowo.

W kolejnym punkcie sesji wybrano przewodniczącego Rady Powiatu, którym został Jan Olech z Ustki. Wiceprzewodni-czącym wybrano Wojciecha Krasuckiego - także z Ustki. Wybrano również starostę słupskiego, którym po kilkuletniej prze-rwie ponownie został Zdzisław Kołodziej-ski. Za jego wyborem głosowało dwuna-stu z dwudziestu radnych obecnych na se-sji. Wicestarostą wybrano Rafała Konona z Przewłoki.

Na pierwszej sesji wybrano również członków Zarządu Powiatu: Pawła Gonere, Pawła Lisowskiego i Jana Leończuka. **(A.K.)**



Jan Olech po dokonaniu wybo-rze na przewodniczącego Rady Powiatu Słupskiego powiedział: - Dziękuję bar-dzo za zaufanie, którym mnie obdarzyli-scie. Ze swojej strony dołożę wszelkich sta-rań, by nasza współpraca układała się jak

najlepiej. Dobro naszego powiatu wyma-ga wspólnego wysiłku wszystkich samo-rządowców. Aby nasza praca była owoc-na musi przebiegać w spokoju, bez kłót-ni i zbędnych, jałowych dyskusji. Liczę na zgodną i lojalną współpracę. Wszyscy dla mnie jesteście jednakowo ważni, niezależ-nie od różnic politycznych. Wszyscy działa-my na rzecz rozwoju i pomyślności miesz-kańców powiatu. Życzę wszystkim, tak-że sobie, byśmy na koniec kadencji mogli śmiało spojrzeć w oczy mieszkańcom na-szego powiatu i powiedzieć, że godnie ich reprezentowaliśmy i spełniliśmy ich oczekiwania. Wszystkim na nową kadencję ży-czę dużo energii, zapału oraz realizacji pla-nów zawodowych i osobistych.



Nowy starosta Zdzisław Kołodziej-ski po wyborze: - Chciałbym serdecznie podziękować za zaufanie, którym mnie obdarzyliście. Chciałbym również zwrócić się do tych, którzy na mnie nie głosowali i powiedzieć, że postaram się w najbliższym czasie wszystkich przekonać do mojej oso-by i zachęcić, żebyśmy wspólnie zadbali o rozwój powiatu. Bo przecież wszystkim nam na tym zależy, żeby poprawić atmos-ferę, by wszystko, co robimy, było dobrze odbierane przez mieszkańców. Wynik na-szej pracy poznamy za cztery lata, kiedy będziemy kandydować w następnych wy-borach. Wtedy, mam nadzieję, wyborcy potraktują nas tak, jak sobie na to zasłuży-my. **(Z)**

Fot. J. Maziejuk

Fot. J. Maziejuk



Jan Olech
- przewodniczący (PS)



Grzegorz Grabowski
(PS)



Marek Kołtun
(SPS)



Paweł Lisowski
(PS)



Tomasz Świtek
(PiS)

RADA POWIATU SŁUPSKIEGO NA LATA 2014 - 2018



Wojciech Krasucki
- wiceprzewodniczący (PO)



Joanna Chabowska
(PiS)



Paweł Gonera
(PS)



Maciej Karaś
(PO)



Maria Kobylarz
(PiS)



Zdzisław Kołodziejski
(PS)



Rafał Konon
(PO)



Andrzej Kordylas
(PS)



Jan Leończuk
(PO)



Anna Pietrzak
(PO)



Bożena Przyborowska
(PS)



Edward Sasko
(SPS)



Andrzej Zawada
(PiS)



Barbara Zawadzka
(SPS)



Stanisław Zieliński
(PiS)

Składy Komisji Rady Powiatu Słupskiego

KOMISJA REWIZYJNA

Anna Pietrzak - przewodnicząca,
Grzegorz Grabowski - zastępca
przewodniczącej, Maciej Karaś,
Tomasz Świtek, Andrzej Zawada

KOMISJA BUDŻETU I FINANSÓW ORAZ ROZWOJU POWIATU

Paweł Gonera, Maciej Karaś, Maria
Kobylarz, Zdzisław Kołodziejski,
Marek Kołtun, Rafał Konon, Wojciech
Krasucki, Jan Leończuk, Edward
Sasko, Tomasz Świtek, Barbara
Zawadzka, Sławomir Ziemianowicz

KOMISJA ROLNICTWA, ŚRODOWISKA I BEZPIECZEŃSTWA PUBLICZNEGO

Joanna Chabowska, Paweł Gonera,
Grzegorz Grabowski, Maria Kobylarz,
Rafał Konon, Andrzej Kordylas,
Jan Olech, Bożena Przyborowska,
Edward Sasko, Stanisław Zieliński,
Sławomir Ziemianowicz

KOMISJA POLITYKI SPOŁECZNEJ

Joanna Chabowska, Maria Kobylarz,
Zdzisław Kołodziejski, Marek Kołtun,
Andrzej Kordylas, Wojciech Krasucki,
Jan Leończuk, Paweł Lisowski, Anna
Pietrzak, Bożena Przyborowska,
Andrzej Zawada, Barbara
Zawadzka, Stanisław Zieliński

*Komisje ukonstytuują się na swoich
pierwszych posiedzeniach.*



Sławomir Ziemianowicz
(SPS)

Co po wyborach?

Wyborcy są zniechęceni propagandą wyborczą. Potrafią ocenić, że czasem pochtania ona wydatki wielokrotnie przekraczające obowiązujące przepisy limitami finansowymi.

Kandydaci beztropko wydają potężne kwoty na kampanię.

Ludzie widzą bezsens tych wydatków, przy jednoczesnym braku pieniędzy na cele publiczne, na przykład na żłobki, przedszkola czy hospicja

23 listopada br. wieczorem Wojewódzka Komisja Wyborcza opublikowała, po siedmiu dniach od przeprowadzonych wyborów, obwieszczenie z listą radnych województwa pomorskiego. Zbiorcze wyniki wyborów wójtów, burmistrzów i prezydentów miast na obszarze kraju, przeprowadzonych 16 listopada zostały opublikowane w Dzienniku Ustaw z 24 listopada. Jak z powyższego wynika, na wyniki wyborów samorządowych długo musieliśmy czekać. Zawinił system informatyczny i brak właściwego przygotowania się do wyborów przez Państwową Komisję Wyborczą. Po tych zawirowaniach sędziowie PKW podali się do dymisji.

Zaskoczeniem była duża liczba głosów nieważnych i frekwencja wynosząca 47,4 proc. uprawnionych do głosowania. Ponad połowa wyborców w Polsce nie wzięła udziału w wyborach do samorządów, lokalnych. To niedobre zjawisko!

Warto spróbować odpowiedzieć sobie na pytanie, dlaczego tak się dzieje, skoro w państwach europejskich udział w wyborach kształtuje się na poziomie 75 - 95 procent?

Zwycięstwo do sejmików samorządowych odniósł w kraju PiS zbierając 26,85 proc. głosów. W poprzednich wyborach samorządowych, w 2010 roku na ugrupowanie to głosował co czwarty Polak, w obecnych - prawie co trzeci. Na drugim miejscu uplasowała się PO - zebrała 26,36 proc. głosów. To prawie remis. Sensację wzbudza wynik uzyskany przez PSL - 23,68 proc. uzyskanych głosów w skali kraju. To potwierdza, że PSL jest dobrze usytuowane w terenie i będzie liczyć się w samorządach. Do przegranych można zaliczyć SLD, który uzyskał słaby wynik (8,78 proc. głosów). Jest on

dwa razy słabszy niż przed czterema laty i potwierdza poważny kryzys na lewicy.

Wyniki te sugerują, że w piętnastu województwach powstanie koalicja PO - PSL, która będzie rządzić i tylko w jednym województwie świętokrzyskim przejmie rządy PiS.

Zbliżone są do krajowych również wyniki wyborów do samorządu powiatowego i w mieście Słupsk, ale odnotowano jeszcze mniejszą niż w kraju frekwencję. Na 20.668 głosujących na kandydatów do Rady Powiatu Słupskiego aż 7 tys. oddanych głosów (tj. 34 proc.) było nieważnych. W Wyborach do Rady Miejskiej w Słupsku nie ważnych było tylko 10 proc. oddanych głosów.

Na nową kadencję do Rady Powiatu wybrano z: PiS - 6, PS (Porozumienie Samorządowe) - 6, PO - 5, SPS (Słupskie Porozumienie Samorządowe) - 4 radnych. Najwięksi w powiecie przegrani to dotychczasowy przewodniczący Rady Powiatu - Ryszard Stus i urzędujący wicestarosta - Andrzej Bury. Zaskoczeniem jest też dobry wynik PiS. Dotychczasowy starosta wprowadził tylko 4 radnych do Rady Powiatu i musiał pożegnać się ze stanowiskiem.

1 grudnia, zgodnie z obowiązującą ordynacją, odbyła się I sesja Rady Powiatu Słupskiego. Wybrano na niej nowe władze na kadencję 2014 - 2018. Przewodniczącym Rady Powiatu został Jan Olech - dotychczasowy burmistrz Ustki. Wiceprzewodniczącym - Wojciech Krasucki - także z Ustki. Na starostę wybrano Zdzisława Kołodziejskiego, znanego samorządowca, starostę słupskiego w kadencji 2002 - 2006. Do Zarządu Powiatu rada wybrała: Pawła Gonę, Pawła Lisowskiego i Jana Leończuka. Nowe władze powiatowe budzą duże nadzieje na

sprawne kierowanie powiatem, na racjonalne wydawanie środków publicznych i dalszy rozwój ziemi słupskiej.

Natomiast do Rady Miejskiej w Słupsku komitety wyborcze wprowadziły: PO - 9, PiS - 7, SPO (Słupskie Porozumienie Obywatelskie) - 4, Roberta Biedronia - 2 radnych, a SLD - 1 radnego. Największym przegranym jest SLD, który wprowadził do Rady Miejskiej tylko jednego radnego oraz ostatni wiceprezydent Słupska, który ubiegał się też o fotel prezydenta, a poniósł totalną klęskę. Jego komitet nie osiągnął nawet progu wyborczego.

Liczący się kandydaci na prezydenta Słupska w pierwszej turze wyborów osiągnęli następujące wyniki: Z. Konwiński z PO - 29,08 proc. głosów, R. Biedroń - 20,33 proc., R. Kujawski z PiS-u - 18,64 proc. Rada Miejska po wyborach została w połowie zmieniona, zasiądzie w niej 13 nowych radnych, wśród nich 3 ma już doświadczenie w pracy w samorządzie z poprzednich kadencji. Do rady dostał się np. były prezydent Jerzy Mazurek i były wiceprezydent Andrzej Obecny.

O prognozach wyborczych pisałem już w artykule „Czy będziemy mieli elitę polityczną?” (PS nr 9-10/2014 r.). Teraz mogę je podsumować. Ogólna frustracja społeczna i rozczarowanie żądami dotychczasowych władz objawiły się niską frekwencją. Partie polityczne popełniają błąd i typują zawsze tych samych kandydatów, bez zastanowienia i nie licząc się z tym, że nie zawsze przyczynili się oni do

oraz akceptacji programów politycznych. Programy wyborcze to na ogół koncerty życzeń, i przeważnie takie same; nie zmieniają się od wielu lat. Jest tak, bo po wyborach z realizacji zadań nikt nikogo już nie rozlicza.

Większość kandydatów buduje swoje programy wyborcze w oparciu o jeszcze nie pozyskane środki zewnętrzne. Nie zawsze wiedzą, skąd wezmą na tzw. „wkład własny” - komponent zasadniczy. Deklaracje przedwyborcze kandydatów różnią się zdecydowanie od późniejszej realizacji obietnic. Na ogół prowadzi to do braku zainteresowania kolejnymi wyborami i tego, że po czterech - ośmiu latach sprawowania władzy dotychczasowi samorządowcy odchodzą w niesławie.

Zdarza się, że władza wykonawcza jest skłócona z uchwałodawczą, obie strony nie potrafią się porozumieć dla dobra społeczeństwa. A to odbija się negatywnie na lokalnym rozwoju. Zniechęcenie społeczne osiąga wtedy punkt krytyczny. Wyborcy są też zniechęceni propagandą wyborczą. Potrafią ocenić, że czasem pochłania ona wydatki wielokrotnie przekraczające obowiązujące przepisami limity finansowe. Kandydaci beztrudno wydają potężne kwoty na kampanię. Ludzie widzą bezsens tych wydatków, przy jednoczesnym braku pieniędzy na cele publiczne, np. na żłobki, przedszkola czy hospicja.

Wydaje się, że do największych przegranych należą ci kandydaci, którzy bez zastanowienia za każdym razem wystawiają

innej orientacji politycznej. Mielśmy do czynienia ze swego rodzaju sensacją wyborczą nie tylko na całą Polskę, ale także Europę!

Posłanka PiS ze Słupska, zacytowana przez media, miała powiedzieć, że w drugiej turze wyborów odda pustą kartkę, ponieważ żaden z kandydatów ubiegających się o fotel prezydenta jej nie odpowiada. Znamienna była też odpowiedź jak głosować, odczytana w ogłoszeniach kościelnych w niedzielę 23 listopada br. przez miejscowych hierarchów. Odcinając się od wspierania, jakiegokolwiek z kandydatów, dobry wybór uzależnili od przestrzegania praw naturalnych i kościelnych przez osobę kandydującą.

1 grudnia od przewodniczącego Miejskiej Komisji Wyborczej w Słupsku Tomasza Rybińskiego dowiedzieliśmy się, że Robert Biedroń, 38-letni poseł centrolewicowej partii politycznej „Twój Ruch” uzyskał 57,08 proc. głosów wyborczych, a Z. Konwiński z PO - tylko 42,92 proc. Na R. Biedronia głosowało 15.308 osób, a na Z. Konwińskiego - 11.511. Do walki o fotel prezydenta miasta stanął mało znany w Słupsku i dla wielu kontrowersyjny kandydat. I taki wybory wygrał!

Jakie były pierwsze komentarze o nowym prezydencie Słupska? Mówiono, że wykorzystał w pełni parametr personalny, walory oraz cechy osobiste i był bardziej medialny niż jego konkurent.

Tygodnik „Polityka” wymienia Roberta Biedronia w rankingu jako najlepszego posła w 2014 roku. Redaktorzy „Polityki” napisali: „Poseł wniósł bardzo duży wkład w pracę komisji sprawiedliwości, jako jeden z niewielu polskich polityków wykorzystuje szansę, jaką daje obecność w Zgromadzeniu Parlamentarnym Rady Europy. Potrafił „rozruszać” wiele spraw w komisji spraw zagranicznych. Jeden z najbardziej pracowitych posłów w Sejmie, odgrywa często większą rolę i więcej wnosi do pracy parlamentu niż cały jego klub. Ponadto wielka kultura osobista, życzliwy stosunek do ludzi.”

Pragnę dla mojego miasta Słupska i jego mieszkańców doczekać takiego prezydenta, który wykaże się profes-

sjonalizmem, zaangażowaniem, szerokim spojrzeniem na sprawy miasta i ludzi. Takiego, który działać będzie z otwartością, życzliwością i kulturą, który będzie realizował wielokierunkowy program rozwoju miasta. Bo Słupsk to wizytówka naszego regionu.

Czy takim prezydentem będzie Robert Biedroń?

Włodzimierz Lipczyński, Słupsk

Fot. J. Maziejuk



rozwoju miasta czy regionu. W prowadzonych badaniach sondażowych dotyczących zaufania społecznego, okazało się, że najmniejsze - 4-procentowe zaufanie ma społeczeństwo do działaczy politycznych. Wielu o sobie mówi, że są już politykami zawodowymi i nie nadają się do żadnej innej pracy. Ten brak zaufania społeczeństwa do kandydatów politycznych, to także wynik braku indywidualności i osobowości

się do wyborów, a potem je przegrywa, bez żadnych refleksji, że ludzie ich nie akceptują.

Sytuacja wyborcza w Słupsku się skomplikowała, bo mieliśmy dodatkową turę wyborów na prezydenta miasta. Spotkał się w niej kandydat PO - Zbigniew Konwiński, obecny poseł na Sejm RP z Robertem Biedroniem, także posłem na Sejm z tego samego okręgu wyborczego, ale o

„Cisza” powyborcza - moje cztery zasadnicze uwagi

Rolą i zadaniem opozycji w demokratycznym państwie nie jest walka z władzą, negowanie wszystkich jej zamierzeń i poczynań, lecz wspomaganie, by jak najlepiej mogła spełniać swoje zadania



państwo daje jednak szansę na ich korektę, eliminację, na pojawienie się nowych rozwiązań. Przede wszystkim dlatego, że stara się włączyć do obszaru swojego działania jak najwięcej uczestników, zwykłych ludzi, zachęcając ich i ucząc partycypacji, współuczestnictwa w tworzeniu wspólnego dobra. Obywatele sprawujący władzę na różnych szczeblach, dostają szansę realizowania czegoś ważnego, istotnego w sposób godny i odpowiedzialny. Nie jest łatwo sprawować władzę w kontekście tak różnych, często skrajnie dziwnych oczekiwań. To ciężko zarobiony chleb. Wiele mądrych, wartościowych ludzi ma obawy i nie wybiera takiego sposobu funkcjonowania mimo predyspozycji i zachęt. Dlatego wybrane władze są wartością i wspólnym dobrem. Są także przeszkodą dla zwolenników bardziej radykalnych rozwiązań, ugrupowań dyktatorskich, nacjonalistycznych, faszystujących.

3. Obserwuję powszechne niezrozumienie określenia opozycja. Przede wszystkim trzeba zdawać sobie sprawę, że o opozycji na różnych szczeblach władzy można mówić poważnie tylko w kontekście państwa demokratycznego. Opozycja to ci, którzy do struktur władzy się dostali, ale nie mogą nią samodzielnie władać, bo z jakiegoś powodu stanowią mniejszość. Niektórzy bycie w mniejszości uważają za porażkę, uszczerbek na honorze i podrażnionym ego, próbują nadać jej szczególne znaczenie. Udują, że nie wiedzą, iż bycie w mniejszości nie oznacza utraty wpływu na decyzje władzy, lecz jedynie przesunięcie akcentu z jej możliwości decyzyjnych na doradczą. To bardzo ważna rola, której nie chcą odgrywać, wybierają walkę, starcie, konfrontację jako najważniejszy, a bywa że jedyny sposób akcentowania swojej obecności.

Rolą i zadaniem opozycji w demokratycznym państwie nie jest walka z władzą, negowanie wszystkich jej zamierzeń i poczynań, lecz wspomaganie, by jak najlepiej mogła spełniać swoje zadania. Propozycja alternatywnych rozwiązań, dyskusje programowe, spory ideowe, rzetelne wykonywanie powierzonych zadań, oto

1. Wybrano władze samorządowe na kolejną kadencję. Nie bez problemów. Część z nich, jak to u nas, zafundowano sobie automatycznie. Na przykład zarządzając tzw. ciszę przedwyborczą. Rozumiem jej sens w dniu wyborów - by nie zakłócać, utrudniać ich przebiegu. Ale na dwadzieścia cztery godziny przed tym dniem pytam się, po co? Z obawy, że trochę więcej osób da się przekonać i zdecyduje się pójść głosować? Albo z absurdałnego przekonania, że jak nie ma publicznie organizowanej kampanii, agitacji, itp. to każdy zdecydowany na kogo głosować nie może już zmienić zdania, a niezdeterminowany może zdecydować i źle wybrać? Nieustannie komuś coś nakazujemy, nakazujemy, ograniczamy czas i pole manewru, robimy z siebie idiotów. Jako wyborca nie rozumiem, dlaczego na pięćdziesiąt, sześćdziesiąt godzin przed wyborami mogę zapoznawać się z ofertą kandydatów do władz, wsłuchiwać w ich argumentację, przyglądać im, a na dwadzieścia cztery godziny już nie. Dlaczego tym godzinom próbuje nadać się jakąś

„inność”, wyjątkowość? Moim zdaniem: nonsens.

2. Wybory samorządowe są okazją do ukazania dorobku minionej kadencji. Publikowane są podsumowania: co udało się zrobić, czego nie, jakie sprawy wymagają dalszej troski. Uczciwość pozwala zauważyć, że w całym kraju dokonuje się znaczący postęp niemal we wszystkich dziedzinach i obszarach życia gospodarczego. Co więcej, ośmielam się twierdzić, że jeszcze nigdy w swojej historii, może poza okresem Rzeczypospolitej Obojga Narodów, Polska nie osiągnęła tak znaczącej, stabilnej pozycji w Europie, nie stworzyła tak pomyślnych warunków rozwoju swoim obywatelom. Jego podstawą i źródłem sukcesu są lokalne społeczności, które decydując o wyborze zagadnień i kierunkach przemian na zamieszkiwanym obszarze, dokładają swoją cegiełkę do wspólnej budowli zwanej ojczyzną, szerzej Europą, wspólnotą cywilizacyjną. Oczywiście nie jest idealnie, bo nigdy nie będzie, w wielu sprawach jest źle, popełnia się wiele błędów, dzieją się nieprawidłowości. Demokratyczne

prawdziwe oblicze właściwie rozumianej opozycji. W taki sposób może ona i powinna brać udział w rządzeniu, ponosić część odpowiedzialności za skuteczność i wizerunek władzy. O wartości opozycji świadczy nie tylko poziom merytorycznych i profesjonalnie przygotowanych propozycji dotyczących wybranych dziedzin go-

od dawna, by podważyć wiarygodność władzy, doprowadzić do jej upadku. To bardzo groźne zjawisko na polskiej scenie politycznej. Być może, gdy czytelnik będzie czytał te zdania, awanturnictwo polityczne i niepokoje społeczne przez nie wywołane osiągną bardzo niebezpieczną skalę.

Guru opozycji Jarosław Kaczyński

bezpieczeństwa i ładu w życiu publicznym i wiele innych. Ze smutkiem obserwuję, jak Jarosław Kaczyński pogrąża w niej sam siebie. Smutne jest, że tak wielu chce upiec przy tej okazji swoją pieczeń.

Jan Stanisław Smalewski z Naćmierz a w artykule „Nasz czas” napisał: „Patrząc z



Fot. J. Maziejuk

spodarki, polityki, ekonomii, kultury, itd., ale także jej stosunek do osób pełniących najwyższe funkcje: prezydenta, premiera, marszałka, ministrów, kultura z jaką starają się kształtować wzajemne relacje. Rząd kontrolowany i wspierany przez odpowiedzialną opozycję może lepiej wykonywać swoje obowiązki.

To wszystko jest tak oczywiste, że stratą czasu wydaje się mówienie o tym. Jednak, gdy widzę i słyszę co robi, czego chce, jak zachowuje się dzisiejsza tzw. opozycja, szczególnie ta parlamentarna, ogarnia mnie zdumienie, czuję niesmak, wręcz obrzydzenie.

4. W wyborach do sejmików wojewódzkich, aż w piętnastu województwach (oprócz podkarpackiego) miażdżącą przewagę uzyskała koalicja PO-PSL. To dowód, że potrafi ona tworzyć i kontynuować stabilne struktury władzy w sposób akceptowany przez wyborców. Niestety przegrani, choć wygrani przewagą procentową, nie chcą pogodzić się z wolą wyborców wyrażoną w demokratycznych wyborach. Wykorzystując nieprawidłowości zdarzające się w toku wyborów jako pretekst, czynią wysiłki, a robią to już

stwierdza publicznie, że wybory zostały sfałszowane. Nie chcę analizować cynizmu takich sformułowań. O wiele groźniejsza jest ukryta w nich logika świadcząca o stopniu determinacji w sięganiu po władzę. Logika żelaznej konsekwencji w dążeniu do jej uchwycenia kosztem takich wartości jak: pokój i spokój społeczny, stabilność władzy i systemu rządzenia, poczucie

niepokoju na nasz czas jak w teatrze życia na leżący na stole pistolet”. Uważam, że ten pistolet w domu zwanym Polską, jest już w rękach nieodpowiedzialnych ludzi. Czas przetrzeć oczy i zdać sobie sprawę po jakiej stronie mocy się stoi, jakim siłom udziela się swego poparcia, jaką wizję Polski się aprobuje.

Zdzisław Opałko, Słupsk



Smerfne Mikołajki z Sową

Już po raz piąty z okazji Dnia Świętego Mikołaja powiatowa Sowa zaprosiła dzieci do słupskiego starostwa



czapczkach, a mikołajkowe spotkanie z Sową przygotowali animatorzy z Akademii Rozrywki Baltic Fun.

Zabawę przy choince poprowadziła Pani Smerfetka, którą rozpoczęła od quizu na temat „Smerfów”. Następnie dzieci wzięły udział w sportowych zawodach Smerfa Osilka i Smerfa Śpiocha, malowały w grupach świąteczne choinki dla Pappy Smerfa oraz wspólnie tańczyły. Rolę Mikołaja pełniła tradycyjnie Sowa, wyjątkowo chętna tego dnia do zabawy, tańczyła z dziećmi w sali konferencyjnej przy pachnącej świętami

choince. Po zabawie nadszedł czas na słodkie upominki, które wręczył maluszkom wicestarosta Rafał Konon. Dzieci natomiast podarowały wicestarosie przygotowaną



Fot. J. Maziejuk

Najlicniejszą 50-osobową grupę stanowiły maluszki z Miejskiego Przedszkola Nr 2 w Ustce. Ale w zabawie udział wzięły także starszaki z Publicznego Przedszkola z Dębnicy Kaszubskiej. Zgodnie z tradycją dzieci przybyły do starostwa w czerwonych mikołajowych

przez siebie bożonarodzeniową kartkę z podziękowaniem za zaproszenie na mikołajkową zabawę. (A.K.)

Pomorski stół bożonarodzeniowy

Koła gospodyń wiejskich i gospodarstwa agroturystyczne przygotowały



Fot. J. Maziejuk

Pomorskiego Ośrodka Doradztwa Rolniczego. Głównym celem pokazu była ochrona dziedzictwa kulinarnego oraz pobudzenie aktywności mieszkańców wsi w kultywowaniu tradycyjnej kuchni i obyczajów związanych ze świętami Bożego Narodzenia. Swoje stoły zaprezentowało kilka kół z powiatu, za które otrzymały nagrody i wyróż-

„Pomorski stół bożonarodzeniowy”

Imprezę, na której zaprezentowano potrawy i dekoracje zorganizował w Gminnym Centrum Kultury i Promocji w Kobylnicy 6 grudnia br. słupski oddział

nienia, a zainteresowani bożonarodzeniowymi smakołykami mogli je później kosztować. Mieli okazję też kupić świąteczne ozdoby. (A.K.)

Elżbieta Rubaj z Medycznego Liceum Ogólnokształcącego w Słupsku została główną laureatką Powiatowej Olimpiady Wiedzy o HIV i AIDS

Zdrowo żyć

1 grudnia br. w Dniu Światowych Obchodów AIDS w I Liceum Ogólnokształcącym im. Bolesława Krzywoustego w Słupsku odbył się finał Powiatowej Olimpiady Wiedzy o HIV i AIDS pod hasłem „Nie daj szansy AIDS - młodzi bez HIV”. Cyklicznie organizowana olimpiada przez Starostwo Powiatowe i Powiatową Stację Sanitarно-Epidemiologiczną w Słupsku, w tym roku także jeszcze przez I Liceum

Ogólnokształcące im. Bolesława Krzywoustego i Zespół Szkół Agrotechnicznych im. Władysława Reymonta w Słupsku, adresowana jest do uczniów szkół ponadgimnazjalnych ze Słupska i powiatu słupskiego.

W olimpijskich zmaganiach chodziło o sprawdzenie wiedzy na temat zakażeń

wirusem HIV i choroby AIDS, uświadczenie zagrożeń oraz promowanie odpowiedzialności za własne zdrowie i zdrowie bliskich. W olimpiadzie udział wzięło 24 uczestników wyłonionych w eliminacjach szkolnych. Zadaniem było rozwiązanie testu sprawdzającego wiedzę z zakresu HIV i

AIDS. Uczestnicy mogli uzyskać maksymalnie 78 punktów. Najwięcej - 69 zdobyła Elżbieta Rubaj z Medycznego Liceum Ogólnokształcącego w Słupsku i zajęła tym samym I miejsce. Drugie miejsce zajęła Weronika Gańska (66 punktów) z V Liceum Ogólnokształcącego w Słupsku, III - Adrian Maizner (64 punkty), również z Medycznego Liceum Ogólnokształcącego w Słupsku.

Podczas olimpiady rozstrzygnięto konkurs na najciekawszą ulotkę i zakładkę do książki zawierającą informacje o HIV/AIDS. Adresowany był on także do uczniów szkół ponadgimnazjalnych Słupska i powiatu słupskiego. Wpłynęło 50 prac. Komisja, doceniając duży wkład pracy ich autorów, walory plastyczne i merytoryczne nadesłanych ulotek i załączek, przyznała za ulotkę I miejsce Marii Kryszalowicz z Zespołu Szkół Ogólnokształcących i Technicznych w Ustce, II - Patrykowi Bochniakowi z Zespołu Szkół Ekonomicznych i Technicznych im. Stanisława Staszica w Słupsku, a trzecie - Małgorzacie Szczepaniak z Zespołu Szkół Agrotechnicznych im. Władysława Reymonta w Słupsku. Za zakładkę I miejsce przyznano Kindze Wysmyk z Zespołu Szkół Ogólnokształcących i Technicznych w Ustce, II - Łukaszowi Rogińskiemu z I Liceum Ogólnokształcącego im. Bolesława Krzywoustego w Słupsku, III - Dominice Czarneckiej z Zespołu Szkół Ogólnokształcących i Technicznych w Ustce. Wszyscy laureaci otrzymali dyplomy i nagrody w postaci kart podarunkowych sieci Decathlon o wartości od 100 do 200 zł, ufundowane przez Starostwo Powiatowe w Słupsku. **(D.R.)**



Fot. J. Maziejuk

24 listopada br. w Teatrze Rondo w Słupsku odbył się II Powiatowy Konkurs Małych Form Teatralnych pod hasłem „Uzależnienia wokół nas”. Konkurs zorganizowali: Powiatowa Stacja Sanitarно-Epidemiologiczna w Słupsku, Starostwo Powiatowe i Urząd Miejski w Słupsku oraz Słupski Ośrodek Kultury.

Do teatralnej rywalizacji przystąpiło sześć zespołów ze szkół ponadgimnazjalnych ze Słupska i powiatu słupskiego. Celem było zainspirowanie młodzieży szkolnej do kontaktu ze sztuką i podjęcia tematyki uzależnień.

Zwyciężyła grupa teatralna Tomorrow z V Liceum Ogólnokształcącego w Słupsku, która przygotowała spektakl pt. „Rozbitkowie”. Ona weźmie udział w Wojewódzkim Przeglądzie Małych Form Teatralnych w Gdańsku. Drugie miejsce przyznano grupie teatralnej Klatka za spektakl „Być pionkiem w czyichś rękach” z Zespołu Szkół Ponadgimnazjalnych Nr 1 w Słupsku, a trzecie - grupie teatralnej Bąk z Zespołu Szkół Ekonomicznych i Technicznych w Słupsku, za spektakl pt. „Janko Muzykant XIV”. **(D.R.)**

Uzależnieni od... teatru?

Sześć szkolnych zespołów teatralnych ubiegało się o prawo wyjazdu na Wojewódzki Przegląd Małych Form Teatralnych w Gdańsku



Fot. L. Arcimowicz

konkurs teatralny

Odkrywanie przeszłości

Konfrontacja z nieznaną bliżej kulturą czyni z nas prawdziwie otwartymi na różnorodność

Spotkania z osobami innej narodowości są doskonałą okazją nie tylko do przełamywania barier językowych, ale także do poznawania odmiennej kultury. Uwalniają nas od stereotypów, ocalają przed ksenofobicznym zatracaniem się w sobie. Poza tym takie konfrontacje z nieznaną bliżej kulturą

kształcą, czyniąc nas ludźmi prawdziwie otwartymi na różnorodność. Dzięki temu już nie istniejemy obok innych ludzi, ale zaczynamy się z nimi utożsamiać, dostrzegać wspólne problemy i budować trwałe nici porozumienia. Stajemy się świadkami tworzącej się na naszych oczach wspólnoty wielokulturowej, na której fundamentach powinniśmy kreować naszą rzeczywistość.

Taki dialog międzykulturowy mieli okazję nawiązać uczniowie Zespołu Szkół Agrotechnicznych z młodzieżą niemiecką, która przybyła do Słupska z partnerskiego powiatu Herzogtum Lauenburg. Tygodniowy pobyt Niemców, zorganizowany w ramach wspólnej realizacji projektu „Ocalić od zapomnienia”, umożliwił obu biorącym w nim udział grupom młodzieży poznanie historii Pomorza. Młodzież mogła poznać dawne poniemieckie pałace w Warcinie i Damnicy. Ciekawą okazała się wizyta na cmentarzu w Damnicy, na którym znajduje się wiele grobów protestanckich. Opowiadała o nich m.in. Krystyna Mazurkiewicz-Palacz, kierownik słupskiej Delegatury Ochrony Zabytków, autorka książki



Fot. Archiwum Autora

Nowi Kolumbowie

Według George Orwella, brytyjskiego pisarza i publicysty „patriotyzm to pomost łączący przeszłość z przyszłością”. Postawić można zatem pytanie, a co z teraźniejszością, z pokoleniem „subito”, dla którego liczy się post na portalu społecznościowym, który żyje zaledwie parę minut?

poetyckie lekcje patriotyzmu

Czy dla młodych ludzi patriotyzm, bądź podstawowa chociażby wiedza o dziejach swojego narodu ma dzisiaj znaczenie? Niezyskujący już wiceprezes Związku Powstańców Warszawskich, Bronisław Troński stwierdził, że sprawa patriotycznego wychowania w Unii Europejskiej jest priorytetowa: „Jeśli tego nie zrobimy, rozplyniemy się w Europie ojczyzn”.

Od wielu lat nauczyciele Zespołu Szkół Agrotechnicznych w Słupsku propagują wśród uczniów miłość do poezji i zachęcają do obcowania z niełatwą w odbiorze liryką. Spotkanie upamiętniające siedemdziesiąt rocznicę wybuchu Powstania Warszawskiego, zorganizowane przez Agnieszkę Kwaśniewską - Suda równoważyło atrakcyjną dla młodego odbiorcy



Fot. Archiwum Autora

formę przekazu z realizmem i grozą Apokalipsy Spełnionej. Patyna czasu została zdarta - uczniowie uczestniczyli w walkach na ulicy Kruczej, wraz z „chłopcami spod Parasola” bronili pałacyku Michla, odczuwali ból matek, które w powstaniu straciły dzieci. Dzięki bohaterom lirycznym prezentowanych wierszy poznali marzenia swoich rówieśników doświadczonych wojną.

pt. „Dawne cmentarze w powiecie słupskim”. Młodzież następnie porządkowała ten cmentarz i dekorowała groby stroikami wykonanymi przez wychowanków Ośrodka Szkolno-Wychowawczego w Damnicy.

Uczniowie odnajdywali ślady przeszłości także poza Damnicą. Zwiedzili również bunkry Baterii Blüchera w Ustce z czasów II wojny światowej oraz przygotowali prezentacje multimedialne przedstawiające wybrane obiekty architektoniczne regionu, w tym m.in. zabytki Słupska i Damnicy oraz ewangelickich cmentarzy w powiecie słupskim. Młodzież miała także okazję odwiedzić Starostwo Powiatowe w Słupsku, a w czasie wieczoru polsko-niemieckiego potwierdziła, że zrozumienie kulturowej odmienności jest możliwe. Realizowany wspólnie projekt przełamał stereotypowe schematy postrzegania danego narodu wyłącznie przez pryzmat zdarzeń historycznych. Potwierdziło się, że wtedy, gdy zaczynamy patrzeć z dystansem na naszą przeszłość oraz myśleć o niej w innych kategoriach, a człowieka pochodzącego z innej przestrzeni zaczynamy poznawać, to nie boimy się stwierdzić, iż słowo „inny”, „obcy” zmienia swoje znaczenie na „różniący się, rozpoznany, odkryty, zaakceptowany”. A zrozumienie odmiennej kultury jest bardzo ważne we współczesnym świecie.

Wojciech Wróblewski, Słupsk

Przekonali się, że ówczesni młodzi ludzie różnili się od współczesnych lekko archaicznym językiem, ubiorem i brakiem znajomości technologii XXI wieku. Ale mieli takie same pragnienia, podobny temperament i... apetyt na życie.

Dyrektor Iwona Wojtkiewicz w rozmowie z młodzieżą stwierdziła, że „obecnie nastala moda na Powstanie Warszawskie. Media sprowokowały ogólnopolską debatę na ten temat. Wbrew pozorom nie dotyczy ona przeszłości. Odnosi się głównie do teraźniejszości i współczesnych Polaków. Dlatego dyskusja ta wywołuje mnóstwo negatywnych emocji. Powinna zaś budzić refleksję nad fundamentalnymi wartościami oraz postawami wobec innych. Cieszy zatem zainteresowanie młodych ludzi narodową historią. Spotkania takie jak to, prowokują pytania: jak ja zachowałbym się w takiej sytuacji? Czy byłoby mnie stać na poświęcenie życia dla ojczyzny? Co to jest odpowiedzialność?”

Uczniowie Zespołu Szkół Agrotechnicznych wcielili się w rolę powstańców poetów, recytowali wiersze młodych Kolumbów, zarówno te bardziej znane (K. K. Baczyńskiego, T. Gajcego), jak i mniej popularne liryki Józefa Szczepańskiego. Wojenną rzeczywistość przybliżył nauczyciel historii Wojciech Wróblewski. Zbudowany został pomost między przeszłością a teraźniejszością.

Wojciech Wróblewski, Słupsk



Kantabria zachwyca

- Ambitne wyzwania i udział w projektach to efekt ciągłego podnoszenia jakości pracy w naszej szkole - mówi Małgorzata Chudy, wicedyrektor Gimnazjum z Oddziałami Integracyjnymi nr 4 im. Orła Białego w Słupsku

Młodzież i nauczyciele Gimnazjum z w październiku br. odwiedzili Hiszpanię, która była kolejnym ich przystankiem w realizowanym programie Partnerskie Projekty Szkół.

- To jeden z wielu projektów realizowanych przez nauczycieli naszego gimnazjum - mówi wicedyrektor szkoły Małgorzata Chudy. - Ambitne wyzwania i udział w projektach to efekt ciągłego podnoszenia jakości pracy w naszej szkole. Nauczyciele chętnie biorą udział w szkoleniach, a zdobytą tam wiedzę potrafią wykorzystać w konkretnych działaniach.

Tygodniowy pobyt w regionie Kantabria (północna część Hiszpanii) obejmował m.in. wizytę w rezerwacie przyrody w Astillero, fabryce konserw rybnych w miejscowości Santana, w przedsiębiorstwie sektora chemicznego Solvay w Santillana oraz w muzeum naskalnych rysunków w Altamira. Wielu wrażeń dostarczył dzień spędzony w stolicy regionu - Santander. Popularny kurort z wysokich, skalistych klifów dumnie spogląda na błękitne wody Atlantyku. Zwiedziliśmy Muzeum Morskie, port i miasto. Gospodarze na deser zostawili Cabarceno Wildlife Park, gdzie znajduje się zoo, a raczej safari na rozległym terenie malowniczo położonym wśród czerwonych skał. Zwierzęta mają tam dużą przestrzeń do wolnego wybiegu, dzięki czemu ich „niewola” jest mniej dotkliwa, a zwiedzający widzą słonie, lwy, niedźwiedzie i inne zwierzęta z pewnej odległości. Miejsce niezwykle, zwłaszcza dla miłośników przyrody. Kantabria zachwycała odwiedzających swoją różnorodnością, gościnnością, pięknymi krajobrazami i dobrze rozwiniętą gospodarką. To miejsce, w którym rozwój przemysłu nie zakłócił naturalnego piękna

i czystości środowiska. Na potwierdzenie tej ekologicznej postawy mieszkańców Kantabrii przedstawiciele poszczególnych państw zasadzili „swoje” drzewo. Polskiej grupie przypadł cis, który będzie pamiątką naszego pobytu w Hiszpanii.

W przedsięwzięciu „Comenius - Partnerskie Projekty Szkół” uczestniczą uczniowie i nauczyciele z Wielkiej Brytanii, Finlandii, Portugalii, Hiszpanii, Włoch i Polski. Morska tematyka projektu skupia uwagę uczestników wokół spraw morza. Uczniowie podczas wizyt partnerskich poznają zakłady przetwórcze, stocznie, porty rybackie oraz różnorodność nadmorskich krajobrazów. Podczas prac w zespołach mają okazję doskonalić znajomość języka angielskiego, nawiązują kontakty ze swoimi rówieśnikami oraz poruszają tematy związane z gospodarczym wykorzystaniem mórz i potrzebą ochrony środowiska naturalnego.

- Młodzież jest bardzo zaangażowana w projekt. Spotkania szkół partnerskich to dla nich okazja zdobywania wiedzy i umiejętności. Obecnie myślimy już o kolejnym spotkaniu, które w marcu 2015 roku będzie miało miejsce w Słupsku - relacjonuje Marta Ignaciak, koordynatorka projektu.

Młodzież wróciła z Hiszpanii pełna wrażeń, zaś ich opiekunowie mogli się przyjrzeć warunkom i metodom pracy. Doświadczenia zebrane podczas wspólnych spotkań pozwalają na wzbogacanie własnego warsztatu pracy. Uczestnicy projektu, którzy za kilka miesięcy będą gościć w naszym regionie poznają między innymi Słowiński Park Narodowy, Kaszuby, Trójmiasto i oczywiście Słupsk. Będą się też przyglądać pracy Gimnazjum nr 4, by ciekawe pomysły przenieść na swój grunt.

Piotr Sikorski, Słupsk

Wręcz przeciwnie, ton takiego ocieplenia nadawały przygotowania do zimowej olimpiady w Soczi.

Gra, jaką rozpoczął Putin, niebezpieczna gra dodajmy, rozpoczęła się z chwilą rozpoczęcia tych igrzysk. Sielanka i bajeczna sceneria bogatej na pokaz olimpiady w niemal tropikalnym kurorcie na terenie Rosji, miały przykryć, że to będzie rozgrywany przez szulera poker.

Chciałoby się powiedzieć: A już było tak dobrze. Kontakty oligarchów Moskwy z Zachodem kwitły, rozszerzała się współpraca militarna NATO z Rosją, pogłębiały jej więzi gospodarcze z Unią Europejską (jak np. kontrakty z Francją na budowę rosyjskiej floty wojennej: okręty MISTRAL). Nikomu nawet do głowy nie przychodziło, że w umyśle Putina rodzi się potrzeba wielkomocarstwowości kosztem biednej, pozbawionej armii Ukrainy.

I tylko Polskę trochę niepokoiły układy paliwowe Rosji z Niemcami, pominięcie nas w głośnych sprawach budowy gazociągów do Niemiec i do Bułgarii.

Właściwie, gdyby wyłączyć ten ostatni problem, przecież odkrycie w kraju bogatych w gaz złóż łupków, tworzyły wizję nie tylko rychłej niezależności, ale i państwa w rodzaju potentata energetycznego, przyszłość nasza rysowała się świetlanie: pokojowo i dostatnio.

Minał rok, czasu zatem niewiele, by tak wiele się zmieniło, by wszystko co białe, białym być przestało. By poszarzały nasze rokowania co do świetlanej przyszłości, by politycy, którzy nie dopuszczali nawet myśli o zwiększeniu wydatków na obronność, zaczęli trwożnie spoglądać na naszą огоłoconą niemal ze wszystkiego co współczesne armię, by zaczęli domagać się pogłębienia sojuszu z NATO, zwiększenia jego udziału w obronie naszych granic.

Tylko rok wystarczyło, by w Europie wszystkim przywódcom otworzyły się oczy na Rosję Putina, by Ameryka z prezydentem Barackiem Obamą zrozumiała, że Putin to nie jest zwykły gracz w ruletkę, to bezwzględny pokerzysta, który przecież pokera ćwiczył od lat, w niejednym renomowanym komunistycznym kasynie.

As, jakiego - wykorzystując czas owych bajecznych (trick!!!) zimowych igrzysk - Putin wyciągnął z przysłowiowego rękawa, a którym miał w tej nieoczekiwanej rozgrywce o demokrację w Europie być Krym, okazał się kartą nie do przebiccia, cały świat wstrzymał oddech.

To, co wydawało się w stosunkach ukraińsko - rosyjskich absolutnie niemożliwe, co gwarantowane było międzynarodowymi układami, przestało nagle obowiązywać. Putin - mimo oporu całego politycznego świata - dokonał aneksji Krymu, wszczął wojnę o ziemie na wschodzie Ukrainy, zastosował niestosowane dotychczas chwyt militarne z wykorzystaniem zielonych ludzików, białych pojazdów pomocowych,

Zwykła gra, czy poker Putina?

Jeszcze rok temu nikt by nie uwierzył, że we współczesnej Europie może dojść do wojny Rosji z Ukrainą. Ani politycy, ani eksperci od światowych trendów rozwojowych nie przewidywali możliwości zaostrzenia stosunków dyplomatycznych, nie przewidzieli nowej zimnej wojny pomiędzy Rosją a Europą Zachodnią i Stanami Zjednoczonymi

patrzenia w oczy przywódcom państw unijnych, Obamie i innym światowym politykom wzrokiem wytrawnego pokerzysty i mówienia: „To nie ja, To nie moi żołnierze, To nie nasza armia, Ja nic o tym nie wiem”...

Mija rok, gra, a właściwie poker Putina trwa w najlepsze. Poker, do którego Putin przygotowywał się starannie, oświadczając butnie wielokrotnie, że nie pozwoli się szarogęsić przy swoich granicach nikomu, a już na pewno nie jakimś tam NATO, nie pozwoli by jego „najwierniejszy sąsiad Ukraina” (odał mu mu przecież swoją broń atomową) połączył się z Zachodem. To już lepiej przecież, by on ją przyłapał, do... Rosji.

Poker to nie jest zwykła gra, to rozgrywka z rzędu tych, w których jak wiadomo gra się o najwyższe stawki. Ani Ameryka, ani Europa nie były przygotowane, że Putin tak zechce zagrać z nimi. Świat się wystraszył Putina. Wystraszyła się także Polska. Wiele z naszych polityków, ba, nawet i generałów, którzy otarli się o wojny we współczesnym świecie, zaczęło wieść co najgorsze. Że zagraża nam nawet konflikt z Rosją. Że może dojść do III wojny światowej. Bo „Putin to mała p z granatem w ręku” - jak powiedział Wiktor Suworow (przebywający na stałe na Zachodzie autor słynnego „Akwarium” - były oficer radzieckiego wywiadu wojskowego GRU w

Genewie, w Rosji skazany na karę śmierci). Bo Putin to szaleniec, który rzekomo chory jest na raka trzustki, mając przed sobą tylko kilka lat życia, może być zdolny do najgorszego (!!!).

Są jednak i tacy, którzy wieszczą mu rychły koniec.

Kt ó - rzy wierzą, że chociaż po czasie, ale jeszcze nie do końca za późno, uda im się powstrzymać Putina. Za pomocą sankcji gospodarczych, przy pomocy izolacji na arenie międzynarodowej, z udziałem szejków państw arabskich, no i przy pomocy Bożej.

I chociaż to nie jest już od roku zwykła gra, tego pokera Putin jeszcze nie wygrał. Owszem, możliwe są rozmaite szaleńcze scenariusze. Możliwy jest rozmaity dramatyzm tej rozgrywki. Myślę jednak,

że absurdem byłoby targanie się Putina na Polskę. Bo po co? Co chciałby nam zabrać? Jego poprzednicy z dawnego ZSRR dawno temu zabrali nam wszystko, co zabrać się dało.

Dobrzy gracze - oszuści wiedzą, że as w rękawie jest przydatny tylko wtedy, gdy w puli są jeszcze inne asy, a przynajmniej króle. A tymczasem w puli kart Putina karty są coraz słabsze. Jego rzekome poparcie w narodzie jest płynne, jak woda. I jak kiedyś zrobił to mróz za czasów wielkiej wojny ojczyźnianej, tak i teraz może on tę wodę ściąć w surowy lód, który obróci się przeciwko rzekomemu zwycięzcy.

W marcu 1991 roku przed rozpadem ZSRR przeprowadzono referendum dotyczące przyszłości Związku Radzieckiego. Aż 76 proc. Rosjan, Ukraińców, Ormian, Azerbajdżan opowiedziało się za starym porządkiem. A za pół roku i tak wszystko się rozleciało.

Spadają oszczędności i aktywa oligarchów, obniża się radykalnie dopływ środków finansowych z zagranicy. Ubożeje klasa średnia. Krym, do którego po ojcach carchach włączył sobie prawo Putin, pograżał w minionym roku cały biznes turystyczny, doszło do jego krachu w skali całej Rosji. Poza tym zniszczony Krym nie ma wody, prądu, ma zniszczoną infrastrukturę, a Putinowi brakuje środków, by szybko ją odbudować. A przecież dochodzą do tego jeszcze obszary nadal objęte wojną.

W kraju szerzy się korupcja na szczytach władzy, która w pogarszających się warunkach prowadzonej wojny, będzie nie do opanowania. Nie ma masowej produkcji zbrojeniowej, przemysł zbrojeniowy jest w rozsypce, a co z tym się wiąże, wcale nie jest tak „strasząco” z tą nowoczesnością w armii Putina. Większość sprzętu to sprzęt starej generacji z czasów ZSRR, doraźnie doskonalony w prywatnych zakładach. Nie powstało na przykład zapowiadane głośno trzy lata temu centrum najnowszych technologii w Skolkowie.

No i wreszcie ropa. Prawie o połowę spadły ostatnio planowane wcześniej z niej wpływy do budżetu państwa. Jak wiadomo zatem, nie jest ona i na razie nie będzie strategicznym towarem warunkującym dopływ twardych dewiz dla Moskwy.

Cóż tam jabłka, nasi producenci ogarnęli już problem, robią soki, znajdują inne rynki zbytu. Mnie jako zwykłego obywatela i jako kierowcę przy okazji, cieszy na razie to, że obejdziemy się bez ropy i gazu Putina. No i w cieple swego mieszkanka w Uście wierzę także święcie, że tego pokera Putin nie wygra. A jak dalej będzie się zachowywał jak małpa z granatem w ręku, to mu i tę rękę niebawem ktoś utraci. Nie jestem tylko pewien, czy czasami nie będzie to jego ukochany naród.

Jan Stanisław Smalewski, Ustka

Koniec roku skłania do różnego rodzaju podsumowań, rozliczeń oraz rozpoczęcia nowych założeń na zbliżający się nowy rok. Tak też jest w przypadku naszego cyklu, przybliżającego podstawy ekonomii

Poskromienie byka, czyli abc ekonomii

Przypomnijmy sobie, w jaki sposób poszczególne zasady ekonomii zostały wdrożone przez różnych przedstawicieli środowiska biznesu i aktywności społecznej.

Zacznijmy od początku. Pierwsza zasada ekonomii: „ludzie zmuszeni są dokonywać wyborów” została zaprezentowana na przykładzie działalności fermy kur pana Roberta Adkonisa w Kwakowie. Przedstawione zostały codzienne problemy w podejmowaniu decyzji dotyczących rozwoju gospodarstwa. Realizację tej zasady można by skrócić do znanego powiedzenia: „nie ma obiadu za darmo”, bo za każdą decyzją kryje się konkretny efekt ekonomiczny. Ryzyko w podejmowaniu decyzji wiąże się nierozdzielnie z działalnością właściciela fermy, który - jak się okazuje - dobrze sobie radzi z efektem stosowania tej zasady.

Dруга zasada mówi o tym, iż „koszt jest to, z czego musisz zrezygnować, aby osiągnąć swój cel, czyli sztuka ekonomicznych decyzji”. W jaki sposób jest w praktyce realizowana, sprawdzaliśmy niedaleko od Słupska - we wsi Łosino, gdzie mieści się gospodarstwo agroturystyczne o jakże pięknej nazwie „Perełka”. Jego właścicielką jest pani Krystyna Podlas. Jest to pięknie położone w lesie, nieopodal przepływającej rzeki gospodarstwo agroturystyczne, które wita przybyszy urzekającym naturalnym klimatem. Analizując tę zasadę na przykładzie tego gospodarstwa starałem się pokazać jak wiele nieporozumień wynika z niezauważania, że każdy z nas na swój sposób wykorzystuje poszczególne zdolności, jakie ma do dyspozycji. Warto

sobie zdawać sprawę, że podejmując jakieś działanie, rezygnujemy z wielu innych, czy to w działalności gospodarczej, do której najczęściej odnosi się pojęcie kosztu alternatywnego, czy to w życiu prywatnym.

Trzecia zasada ekonomii (racjonalni ludzie biorą pod uwagę wielkości krańcowe) brzmiała bardzo zagadkowo, lecz po przedstawieniu jej efektów w życiu codziennym okazała się znajoma. Stosowanie jej zaprezentowałem na przykładzie Przedsiębiorstwa Produkcyjno - Handlowego ELEGANT MAN ze Słupska. Problemy związane z jej realizacją i wdrażaniem do codziennego życia przybliżył

nam Dariusz Pakuła, współwłaściciel firmy. Wykorzystując znajomość tej zasady, my konsumenci możemy dokonać zakupu produktów, których w normalnych warunkach z różnych powodów byśmy nie kupili. Sprzedawcy, chcąc ograniczyć koszty, wprowadzają sezonowe obniżki towaru, z korzyścią dla klienta i dla firmy.

Czwarta zasada brzmi: „ludzie reagują na bodźce”. Od najmłodszych lat jesteśmy uczeni przez rodziców, szkołę i środowisko, że oszczędzanie powinno być jednym z naszych nawyków. I tak przez całe życie oszczędzamy, a to na wakacje lub inne przyjemności, na „czarną godzinę”, kupno nowego samochodu lub inne rzeczy. Istnieje też druga strona - kiedy oglądamy reklamę w telewizji, nagle pod wpływem bodźca potrzebujemy kolejnego cudownego kremu, proszku, leku. Zasada ta pozwoliła pokazać w jaki sposób



samorządowcy kształtują rozwój wsi w powiecie słupskim na przykładzie oddziaływania bodźców.

Piąta zasada ekonomii mówi o tym, iż „handel może być opłacalny dla wszystkich”. Oddziaływanie jej zaprezentowałem na przykładzie jednego z producentów ziemniaka, którym jest przedsiębiorstwo rolne Farm Frites Poland Dwa sp. z o.o. Zawilości teorii i praktyki wyjaśniał Jarosław Wańkowicz, który pełni rolę generalnego menedżera w gospodarstwie oraz dyrektora działu zarządzania surowcem w fabryce Farm Frites Poland S.A. Pokazał, w jaki sposób współpraca pomaga wszystkim zainteresowanym w osiągnięciu założonego planu.

Szоста zasada mówiąca o tym, że „rynek są zwykle dobrą formą organizowania aktywności gospodarczej” pozwoliła pokazać, że upadek „wielkiego planisty” z czasów socjalizmu spowodował pomysłowość i aktywność wielu ludzi, którzy tworząc nowe miejsca pracy dla siebie i innych, sami odpowiadają sobie na pytanie: „co zrobić, żeby zarobić”. Pokazała, w jaki sposób kieruje „niewidzialna ręka rynku” procesami, w wyniku których kształtują się ceny. Zasada ta dobrze jest wykorzystana w przedsiębiorstwie Przetwórstwo Rybne ŁOSOŚ Sp. z o.o. które zaprezentował prezes spółki Andrzej Piątak. Na przykładzie zmian, jakie dokonały się w tym przedsiębiorstwie, zasada ta ukazała celowość działania w zespole i kształtowania jego aktywności.

Siódma zasada ekonomii podpowiada, że „niekiedy państwo może poprawić wyniki działania rynku”. W naszym cyklu została zaprezentowana na przykładzie przedstawicieli władz lokalnych i podejmowanych przez nie decyzji. Prezentując ją przywołałem Międzynarodowe Spotkanie Miast Partnerskich, w którym gospodarzami byli wódcze powiatu słupskiego oraz gminy Kobylnica z wójtem Leszkiem Kulińskim. Każde wyróżnienie na forum publicznym gminy lub powiatu to wyraźne podkreślenie, że dane środowisko jest aktywne i przyciąga do siebie różne formy działalności gospodarczej. Istnieje zasada, że bogata gmina (dobrze zarządzana) przyciąga biznes i pieniądze. Powstaje pewna zależność - im lepiej wiedzą się ludziom, tym szybciej rozwija się biznes i jego otoczenie. W takiej sytuacji rolę przedstawicieli władzy samorządowej jest gwarancja na odpowiednim poziomie zabezpieczenia ochrony własności każdego człowieka, poprzez nadzorowanie obowiązującego prawa. Na przykładzie gminy Kobylnica pokazałem racjonalne wykorzystanie środków pozyskanych na biznes, które następnie można przeznaczyć na rozwój życia pozabiznesowego. Takie podejście do zarządzania przynosi sukcesy gminie na rynku lokalnym, a także na ogólnopolskim, a nawet europejskim.

Ósma zasada ekonomii mówi o tym, że „poziom życia zależy od ilości

wyprodukowanych dóbr i usług”. Objasniając ją przybliżyłem działanie dwóch przedstawicieli świata samorządowego i biznesowego. Pierwszą osobą, reprezentującą nasz region na forum Sejmiku Województwa Pomorskiego i starającą się pozyskać kapitał na realizację konkretnych inwestycji był Marek Biernacki. Udowadnia on, że o fundusze, zwłaszcza na projekty prospołeczne trzeba umieć dobrze zabiegać i nie jest to takie łatwe. W sytuacji pozyskania środków prześledziliśmy ich wykorzystanie na konkretną inwestycję, a jest nią powstanie nowoczesnej placówki medycznej - Centrum Zdrowia Psychicznego. Drugim przedstawicielem, który wykorzystuje pozyskany kapitał jest dyrektor Samodzielnego Publicznego Specjalistycznego Psychiatrycznego Zakładu Opieki Zdrowotnej w Słupsku, Krzysztof Sikorski.

IX zasada ekonomii stwierdza, że „ceny rosną, kiedy państwo drukuje zbyt dużo pieniędzy”. Tym razem moim rozmówcą był znany z zasług dla rozwoju słupskiej koszykówki Andrzej Twardowski. Poprzez jego działalność na polu sportu, a także ekonomicznym zaprezentowana została ta zasada. Stwierdziliśmy, że „dobry wujek” z lat minionych, przynoszący walizkę pieniędzy na poratowanie sytuacji i kondycji firmy, odszedł do lamusa. Nasz rozmówca pokazał, jak samemu trzeba sobie radzić w dzisiejszych czasach i mądrze wydawać posiadane pieniądze. W dzisiejszych warunkach rolę „wujka” pełnią banki udzielające kredytów. Nam, zwykłym zjadaczom chleba trzeba pamiętać, że „za lekkie pieniądze trzeba będzie zapłacić” i chyba lepiej poświęcić więcej czasu i samodyscypliny, aby rozsądnie korzystać z tego, co mamy.

Wreszcie dziesiąta zasada. Mówi, że „w krótkim okresie społeczeństwo wybiera między inflacją a bezrobociem”. W dzisiejszych czasach każdy chyba spotkał się z określeniami „inflacja” i „bezrobocie”. Pomimo że brzmią znajomo, to nikomu nie wydają się przyjazne. Wielu z nas obawia się jednej lub drugiej sytuacji. Utrata pracy często okazuje się najbardziej przygnębiającym wydarzeniem w życiu. Podobnie, gdy oszczędzamy na konkretną rzecz lub przyjemność, a kiedy dochodzi do zakupu, okazuje się, że cena poszła w górę i nasze oszczędności są za małe, aby spełnić nasze oczekiwania. Zjawisko to wyjaśniał nam oraz sposoby przeciwdziałania mu - starosta słupski Sławomir Ziemiałowicz.

Mam nadzieję, że cykl tych artykułów, prezentujący zagadnienia z dziedziny ekonomii, przybliżył Czytelnikom „Powiatu Słupskiego” zasady, które występują w naszym codziennym życiu i wpływają na nasze postępowanie. Na przykładach osób reprezentujących różne środowiska mogliśmy zobaczyć, jak ekonomia wpływa na ich postępowanie oraz w jaki sposób dostarcza wzorców do realizacji celów i marzeń.

dr Mirosław Betkowski, Słupsk

Współczesny turysta wybierając się na wypoczynek szuka miejsc wyjątkowych, dostępnych i atrakcyjnych. Wyjątkowością mogą być osobliwe walory przyrodniczo-kulturowe, ale brak dostępności do nich w postaci dobrze oznakowanych szlaków turystycznych, sieci dróg kołowych i kolejowych, informacji turystycznej, całej infrastruktury towarzyszącej nie zachęci turystów do odwiedzenia danego regionu. To czy oferta turystyczna będzie atrakcyjna zależy od branży turystycznej i społeczności lokalnej. Im bardziej partnerska między nimi współpraca, innowacyjność w pomysłach, gospodarność i biznesowe podejście, tym oferta będzie atrakcyjniejsza. Turystyka to dziedzina interdyscyplinarna, dlatego tak ważne jest wspieranie i współpraca lokalnych organizacji turystycznych i innych stowarzyszeń, które wraz z samorządami tworzą lokalną markę. Zaangażowanie, pasja i przedsiębiorczość to główne kroki, które prowadzą do wspólnego sukcesu.

Od kilku lat podczas obchodów regionalnych Światowego Dnia Turystyki Marszałek Województwa Pomorskiego nagradza osoby, podmioty gospodarcze, społeczne i samorządy, wreczając im nagrody, wyróżnienia i odznaczając za zasługi na rzecz pomorskiej turystyki. Tegoroczne regionalne obchody odbyły się 3 października w Filharmonii Kaszubskiej w Wejherowie. Zaznaczyć należy, że Filharmonia ta otrzymała nagrodę Marszałka w kategorii „innowacja w turystyce” (obiekt w znacznej części sfinansowany został ze środków Unii Europejskiej). Szkoda, że nasi muzycy grający w orkiestrze „Sinfonia Baltica” w Słupsku muszą korzystać z tak zużytego obiektu.

W tym roku z powiatu słupskiego wyróżnienie Marszałka Województwa Pomorskiego otrzymali m.in. Joanna i Marcin Barnowscy za kreatywną ofertę „Twierdza Ustka”. Swoją pracą i zaangażowaniem udowodnili, że można stworzyć ofertę kreatywną dla młodego pokolenia, a dla tych co uczestniczyli w drugiej wojnie światowej - miejsce wspomnień. Przy współpracy z samorządem pozyskują środki na wzbogacenie produktu. Ich projekt „Park Historii Twierdza Ustka” zakłada stworzenie - w oparciu o niemieckie bunkry - miejsca w którym można zrozumieć jak skomplikowana i ciekawa jest historia Ustki w kontekście historii kraju.

Stowarzyszenie Rozwoju Turystyki Wiejskiej „Słowniec” ze Smołdzina zostało wyróżnione w kategorii „Wydarzenia roku” - z okazji jubileuszu XV-lecia działalności. Wyróżnienie odebrała prezes Renata Knitter. Stowarzyszenie powstało w 1999 roku, a jednym z wielu jego celów jest promowanie rozwoju turystyki w gminie Smołdzino, wspieranie działań gospodarstw agroturystycznych i przedsiębiorców zajmujących się usługami turystycznymi. Zrzesza gospodarstwa i podmioty prowadzone przez

Hasło tegorocznego Światowego Dnia Turystyki - „Turystyka i rozwój społeczności” posłużyło mi do podsumowania sezonu turystycznego w aspekcie zaangażowania lokalnej społeczności, w tym władzy lokalnej w rozwój turystyki

Kreatywna turystyka



publiczną województwa pomorskiego. W tym roku zgłoszono do niego 34 przedsięwzięcia, reprezentujące różne formy zagospodarowania przestrzeni, funkcjonalne i nowoczesne, użyteczne dla mieszkańców, ale także wzbudzające ciekawość odwiedzających. Spośród zgłoszonych inwestycji, wyróżnieniem pierwszego stopnia nagrodzono Miasto Ustkę za projekt „Kładka nad Kanałem Portowym”. I tak się spełniło marzenie mieszkańców, którzy od kilkudziesięciu lat oczekiwali połączenia wschodniej i zachodniej plaży. Realizacja inwestycji była możliwa dzięki pozyskaniu środków finansowych ze Słowińskiej Grupy Rybackiej.

Certyfikat Polskiego Systemu Informacji Turystycznej w kategorii „Cztery gwiazdki” otrzymało Centrum Informacji Turystycznej w Ustce, które swoją siedzibę ma w nowo wybudowanym obiekcie naśladującym styl szachulcowy, tak licznie występujący na obszarze „Krainy w kratę”. Obiekt wzniesiony został przy wsparciu funduszy unijnych. Jego budowę popierali też - powiat

warunki do pracy oraz ile daje zgodne działanie zespołowe, w tym wypadku współpraca władz samorządowych z lokalną organizacją turystyczną” - czytamy w przekazanym laureatowi piśmie.

Decyzję o wyborze kandydata do nagrody, członkowie redakcji, współpracownicy i osoby nie związane z profesją turystyczną podjęli wcielając się kilkakrotnie w rolę tak zwanego tajemniczego klienta. Wręczenie tego wyróżnienia miało miejsce podczas poznańskiego „Tour Salonu 2014”, a odebrał je Włodzimierz Wolski, pełniący funkcję dyrektora Biura LOT „Ustka i Ziemia Słupska”.

Strategia rozwoju województwa pomorskiego 2020 oraz Regionalny program strategiczny w zakresie atrakcyjności kulturalnej i turystycznej „Pomorska podróż 2020” wyraźnie wskazują jak będzie prowadzona polityka rozwoju wizerunku i marki turystycznej województwa pomorskiego oraz budowa sieciowych, ponadregionalnych produktów turystycznych. Różnorodność przyrodniczo-kulturowa województwa, w tym regionu słupskiego, spowodowały, że celem głównym jest stworzenie unikatowej oferty turystycznej i kulturalnej, a priorytetem: opieka i ochrona dziedzictwa kulturowego i naturalnego. Indywidualne pozyskiwanie środków z UE na realizację lokalnych zadań będzie trudne, ponieważ w programie wyznaczono główne projekty do wspólnej realizacji. Do działań tych będą musiały włączyć się przede wszystkim samorządy, stowarzyszenia, branża turystyczna i lokalna społeczność. Sieciowe produkty turystyczne będą realizowane poprzez zagospodarowanie szlaków wodnych wraz z infrastrukturą towarzyszącą, budowlami hydrotechnicznymi, „Krainy w kratę”, międzynarodowych tras rowerowych. Jedną z tych ostatnich jest trasa biegnąca wzdłuż Morza Bałtyckiego, tzw. R-10. Poza wspólnymi projektami, w powiecie słupskim realizowane będą dwa inne projekty - pierwszy to Centrum Żeglarstwa Ziemi Słupskiej w Ustce, a drugi to „Witkacy w słupskich spichlerzach sztuki”. Zakłada on rewitalizację dwóch XIX-wiecznych spichlerzy wraz z otoczeniem na cele muzealne i kulturalne.

Joanna Orłowska, Słupsk

ludność, która przybyła na tereny Pobreża z różnych części kraju, a nawet i spoza granic Polski. Wiejskie Centrum Turystyczne, którym kieruje służy lokalnej społeczności i podmiotom pracującym w usługach turystycznych, wypełnia lukę na tym obszarze, pełniąc funkcję Lokalnej Organizacji Turystycznej.

W trakcie uroczystości podsumowano również konkurs na najlepszą przestrzeń

słupski i Lokalna Organizacja Turystyczna „Ustka i Ziemia Słupska”.

Centrum Informacji Turystycznej otrzymało specjalną nagrodę od redakcji „Aktualności Turystyczne”. W swoim uzasadnieniu redakcja zwróciła uwagę na ważne zjawisko, często niedostrzegane i bagatelizowane. „Nasza nagroda wskazuje przykład, jak wiele można osiągnąć, gdy właściwym ludziom stworzy się odpowiednie

trauma ciąży przez całe życie i nie ma tu nic z patosu

Z Krystyną Wasiuszko, mieszkającą w Słupsku uczestniczką Powstania Warszawskiego, prezesem Zarządu Oddziału Związku Inwalidów Wojennych RP - rozmawia Włodzimierz Lipczyński

Historia musi być prawdziwa



Fot. Archiwum Autora

- Proszę opisać najbardziej dramatyczne momenty w przebiegu Powstania, które bezpośrednio dotknęły panią.

- Wracam pamięcią do wiersza, który ciągle w mojej pamięci powraca i ma szczególną wymowę:

*„Idę zadumana, zewsząd coś woła:
dziesięciu, trzydziestu, pięćdziesięciu, stu,
a wokół krwawi krew, krew, karabiny
wroga szczękają miarowo,
Nadśłuchuję, może usłyszę szepot?
Nie, Ty nie szepczesz, Ty milczysz Warszawo.
Zaciskam pięści, pustka w dłoni,
lecz płomieniem walki żyje dusza.
Wy coście legli w ulic ustroni,
spoczniecie na historii różach.”*

Mój wątek osobisty jest bardziej tragiczno-nośny. Pamiętam pod murem na piedestale leży powstaniec, ale to nie był pomnik, a był to przecież mój chłopak - Alek. Nosił bryczesy i panterkę, którą mu nawet poprawiałam, bo była zbyt ciasna. To on padł na Podwalu, trafiony rozrywającym się pociskiem. Byłam sanitariuszką, podbiegłam do niego z torbą sanitarną i bezradnie stanęłam nad krwawiącym, rozszarpanym przez szrapnel brzuchem. Moje nogi ugięły się w kolanach, ręce zatrzęsły się i mimo skończonego kursu sanitarnego udzielania pierwszej pomocy, stałam bezradnie. Nie wiedziałam jak zacisnąć opaskę, co bandażować. Cały brzuch był rozplatany i wnętrzności na wierzchu. Bohater miał oczy szeroko otwarte. Usta próbowały coś przekazać, coś powiedzieć. Przypominam sobie jak ukłękłam w kałuży krwi, oparłam jego głowę na kolanach i nie byłam w sta-

nie nic pomóc. Taka trauma ciąży przez całe życie i nie ma tu nic z patosu. To są moje przeżycia osobiste.

- Jak pani przyjęła klęskę Powstania, podpisaną kapitulację i jakie były dalsze pani losy?

- Pamiętam upadek Powstania Warszawskiego - exodus Warszawy, poniewierkę, obozy, tułaczkę bezdomnych i wycieńczonych głodem. To już jest jakby odrębna karta przeżyć. Powstańcy byli pędzeni przez własowców do niewoli niemieckiej, przy tym byli ograbiani,

dokonywane były gwałty i rozboje i rzucające na nas obelgi. To również były tragiczne chwile i po ośmiu miesiącach tułaczki znów zostaliśmy podobnie potraktowani przez naszych „wyzwolicieli”. Moi rówieśnicy przeżywali sytuację, co ich czeka i uciekali na zachód, aby schronić się u aliantów. Pierwsze dni wyzwolenia to szukanie najbliższych. Każdego dnia prześladowało mnie pytanie, czy żyje moja siostra Iwona, która na dwa dni przed powstaniem miała miejsce zgrupowania na Pradze - na Targówku. Gdy dowiedziałam się, że siostra się odnalazła, łzy szczęścia i radości spływały z moich oczu. Pobiegłam do punktu PCK, aby tą radosną wiadomością podzielić się z resztą rodziny.

- Jakie drogi skierowały panią do Słupska i od kiedy pani tu mieszka?

- Byłam młoda, ale osłabiona i wyczerpana po przebytej chorobie. Miałam wielką chęć rozpoczęcia nowego życia. Warszawa była zniszczona, istniały tylko gruzowiska i brak możliwości zamieszkania. Rozpoczęłam intensywne poszukiwania miejsca pracy na Ziemiach Zachodnich. Przypadek albo los rzucił mnie do Słupska we wrześniu 1946 roku. Na początku zatrzymałam się w Powiatowym Urzędzie Repatriacyjnym przy ulicy Wojska Polskiego, ale po kilku dniach otrzymałam pokój przy rodzinie niemieckiej. Słuchałam szwargotu niemieckich sąsiadów i czułam znów, że jestem poniżana, ponieważ patrzono na mnie jak na intruza. Niemcy byli przesiedlani sukcesywnie za Odrę, niszczyli wszystko co musieli pozostawić. Czekalam żeby w Słupsku mieszkali już tylko Polacy. Najbardziej wzruszający moment związany ze Słupskiem, to mój udział w uroczystościach odsłonięcia pierwszego w wolnej Polsce pomnika poświęconego powstańcom warszawskim, 15 września 1946 roku - w drugą rocznicę Powstania Warszawskiego. Do dzisiaj pamiętam moje emocje, kiedy po odsłonięciu pomnika mogłam podejść bliżej i dokładnie przypatrzeć się rzeźbie. Pomnik ten ma swoją wymowę - przekazuje to co jest tak drogie dla każdego powstańca.

- Co pani robiła w Słupsku i jak dziś wspomina minione lata?



Fot. Archiwum Autora

- Moje szczęśliwe życie wiąże się ze Słupskiem. Tutaj poznałam męża, założyłam rodzinę. Mam syna i jestem szczęśliwą babcią. Po skończeniu szkół rozpoczęłam pracę jako nauczycielka w szkołach podstawowych. Uczylałam do emerytury, mam wielu wykształconych uczniów i jestem spełniona jako pedagog.

- Jak pani ocenia Powstanie z perspektywy lat?

- Powstańcy Warszawy nie zawsze byli doceniani. I niezależnie od tego, co można sądzić o Powstaniu, o słuszności podjętych decyzji, nieprzewidzianej kapitulacji, to zwykłym Powstańcom nie można odebrać heroizmu i bohaterstwa nie mającego precedensu w II wojnie światowej.

Mogę podsumować swoje myśli na ten temat strofami wiersza:

*„Warszawo, czy twarz twą we krwi widziała Europa,
Gdy mnogim wiekom świeciłaś pożarem?
Czy Cię widziały ludy na okopach,
na barykadach dostrzegły sztandary,
a na nich orła z okrwawionym pierzem?
Dlaczego wtedy Bóg nie zgasił światła?
Leciały przecież z Twej piersi pacierze,
jak błędne ptaki ogniem gorejące.
Lecz się o gwiazdy wszystkie roztrząsały.
A ludy myślały, że się zagrzebiesz
w czerwonym żarze swych własnych popiołów.”*

- Czy w dzisiejszej, wolnej Polsce właściwie docenia się rolę Powstania Warszawskiego i heroizm powstańców?

- W osiemdziesiątą rocznicę otrzymaliśmy tablicę pamiątkową mieszczącą się na obelisku na placu Zwycięstwa, a w 90. rocznicę rondo przy ulicy Wolności nazwano rondem Inwalidów Wojennych. Co roku odbywają się uroczystości upamiętniające wybuch Powstania Warszawskiego. Ostatnio z inicjatywy środowisk społecznych i kulturalnych były przygotowywane przesłane inscenizacje wybuchu i przebiegu pierwszych dni Powstania, w które zaangażowało się wielu wolontariuszy, artystów.

- W swoich wystąpieniach często podkreśla pani, że inwalidzi wojenni to żywa historia Polski, z której należy czerpać jak ze skarbnicy wiedzy o zwycięstwach odniesionych w czasie kampanii wrześniowej, o walkach na Westerplatte, w Powstaniu Warszawskim, okupacji niemieckiej i sowieckiej, wywózkach Polaków na Sybir, o Polakach ratujących Żydów, walkach na różnych frontach świata: Narwiku, Tobruku, piaskach Libii, Lenino i Monte Cassino...

- Naszym obowiązkiem jest przekazać młodemu pokoleniu doświadczeń weteranów walk w obronie niepodległości Polski, aby byli przygotowani do przejęcia odpowiedzialności za kraj. Opcje polityczne się zmieniają, a historia musi być prawdziwa, bo heroiczne przeżycia naszych weteranów są chlubą dla naszej umiłowanej ojczyzny.

- Dziękuję za rozmowę.



W tym roku, 2 października minęła piętnasta rocznica śmierci jednego z szeregu dobroczyńców naszych Święto-Jackowych, trzystupięćdziesięcioletnich organów - Joachima Schwarza (1930 - 1998). Człowiek ten urodził się prawie osiemdziesiąt lat temu w Słupsku, który wówczas nosił nazwę Stolp-in-Pommern, w stojącym do dziś domu przy Poetenstrasse (dziś Z. Krasińskiego) nr 16.

W marcu 1945 roku państwu Schwarzom - podobnie, jak tysiącom innych mieszkańców miasta zawałił się na głowy cały świat, bo nagle zawitała do Stolpu wojna. W wieku lat piętnastu przyszedł duchowny i muzyk musiał pożegnać swoje miasto rodzinne i uciekać na Zachód. Mówi się, że to wtedy zawarł był swój słynny „układ” z Panem Bogiem: w zamian za ocalenie z pożogi i odnalezienie rodziny przysiągł wstąpić na służbę Bożą. Słowa dotrzymał. W początku lat dziewięćdziesiątych, po długiej nieobecności, wrócił do miasta nad Słupią, będącego już w innym kraju i noszącego inną nazwę, ale przecież wciąż rodzinnego. Później wracał tu jeszcze wielokrotnie, sam, z rodziną, z muzykami i chórzystami (by występować z koncertami organowymi - m.in. w tutejszym kościele pw. św. Jacka i w kościele pw. Najświętszego. Zbawiciela w Ustce. W tzw. międzyczasie robił też dużo dla sprawy renowacji szacownego instrumentu dawnego kościoła zamkowego - jednym z jego ostatnich życzeń było m.in., aby uczestnicy uroczystości żałobnych po jego śmierci zamiast kwiatów przynieśli pieniądze na wsparcie tej odnowy.

Nie od rzeczy będzie wspomnieć, że pan Schwarz i mnie pokazał, w jak pięknym to i sławnym mieście mieszkam i ilu to sławnych ludzi z niego pochodzi. Chciałbym, żeby w kruchcie kościoła pw. Świętego Jacka pojawiła się tablica poświęcona panu Schwarzowi, który choć ze Stolpu - to przecież i Słupsk uważał za swój.

Wojciech. M. Wachniewski, Słupsk

Czy będzie tablica dla Joachima Schwarza?

W wieku lat piętnastu przyszedł duchowny i muzyk musiał pożegnać swoje miasto rodzinne i uciekać na Zachód. Po wielu latach powrócił i poważnie przyczynił się do odnowy słupskich organów

Halloween - zwyczaj związany z masekaradą i odnoszący się do święta zmarłych, obchodzony jest w wielu krajach nocą 31 października, czyli przed dniem Wszystkich Świętych, najchętniej w Stanach Zjednoczonych, Kanadzie, Irlandii i Wielkiej Brytanii. Głównym symbolem tego święta jest wydrążona i podświetlona od środka dynia z wyszczerbionymi zębami. Inne popularne symbole to duchy, demony, zombie, wampiry, czarownice, trupy czaszki itp. W Halloween dzieci i dorośli przebierają się za potwory, których kostiumy oparte są m.in. na postaciach z telewizji. Tak ucharakteryzowane spacerują po ulicach, odwiedzają domy z hasłem: „cukierek, albo psikus”?

W Polsce zwyczaj ten zaczęto pielęgnować w latach 90. ub. wieku. Z tej okazji dla dorosłych organizowane są liczne imprezy kulturalne w nocnych klubach, występy teatralne oraz projekcje filmowe w kinach. Szkoły i przedszkola organizują z tej okazji atrakcje dla swoich wychowanków. Dzieci przychodzą do szkoły przebrane za straszne postacie filmowe. Chodzenie od domu do domu i zbieranie cukierków zdarza się sporadycznie, lecz coraz częściej.

W związku z pogańską genezą tego święta, Halloween spotyka się z krytyką ze strony Kościołów: rzymskokatolickiego, prawosławnego, episkopalnego, luterńskiego oraz innych protestanckich. Noc z 31 października na 1 listopada jest bowiem także ważnym świętem w Kościele Szatana. Z tego powodu Kościół rzymskokatolicki potępia Halloween i utożsamia go z kultem Szatana. W Piśmie Świętym czytamy: „Wszystko badajcie, a co szlachetne - zachowujcie! Unikajcie wszystkiego, co ma choćby pozór zła” (1 Tes 5, 21-23).

Polska to kraj z ogromnymi tradycjami, które są często zapomniane. Ale zawsze możemy sięgnąć po nowe pomysły na integrację i dobrą zabawę. Czy zaraz musimy naśladować we wszystkim innych? W zeszłym roku pisałam o „Czarownicach”, które odwiedziły Motarzyno. Był to jeden z pomysłów na

Dlaczego tak lubimy Halloween?

Dzieci lubią strachy, czarne charaktery w bajkach, ale tylko jak przegrywają z dobrem i gdy bajka kończy się szczęśliwie

„świętowanie”. W tym roku zaproponowałam dzieciom i młodzieży ze świetlicy, żebyśmy zaprezentowali przemarsz Wszystkich Świętych ulicami wsi. Młodzież ucharakteryzowana na poszczególnych świętych, z ich atrybutami miała z piosenką na ustach przejść przez wieś i z życzeniami zbliżyć się do mieszkańców. Pomysł dla większości okazał się dobry, chociaż bez entuzjizmu przystano na tę propozycję. A nie było naszym celem wyśmiewanie i ośmieszanie prezentowanych postaci. Przeciwnie chodziło o wyrażenie szacunku i hołdu dla świętych. Od kilku lat w naszym kraju podobne projekty, np. korowody świętych organizowane są m.in. w Warszawie, Częstochowie czy Łęborku. Klika szkół, z którymi współpracuję, chętnie podjęło temat. Ale projekt nie doszedł do skutku, bo dzieci zachęczone i rozochoczone pomysłem zostały stłumione przez rodziców, którzy nie pozwolili im na udział w takiej zabawie. Ale pozwolili na udział w Halloween, bo to... tylko zabawa. O tym, czy Halloween to tylko zabawa warto poczytać wypowiedzi m.in. ks. Jana Karpowicza, do czego zachęcam.

Ale TVP, Internet, prasa z coraz większą siłą promują ową „zabawę”. Wystarczy wpisać hasło i zalewa nas ilość filmików i

bajeczek na ten temat. Poprzez kreskówki przekaz trafia do najmłodszych i nie wiem tylko, czy po to, by oswoić ich z uciętymi głowami, zamordowanymi ciałami, szalejącymi duchami i wampirami, które preferują smakołyki z ludzkiej krwi? A może, by łatwiej w dorosłym życiu zniosły tsunami szerzącego się zła w codziennym serwisie wiadomości, na ulicach i coraz częściej w domach i rodzinie? Jeśli tak, to zamysł jest trafny, lecz gdzie w tym wszystkim jest dobro i co za tym idzie - moralność, cnota czy szczęście? Definicje dobra określiło już wielu, m.in. Sokrates, św. Tomasz z Akwinu czy św. Augustyn. Ten ostatni twierdził, że „...dobro jest tym, co jest, zło natomiast jest tym, czego nie ma w dobru...”.

Pytając najmłodszych o to, czy lubią strachy, czarne charaktery w bajkach, usłyszałam, że tak, ale tylko jak przegrywają z dobrem i gdy bajka kończy się szczęśliwie. Zapytane, dlaczego przebiegają się za potwory, których tak naprawdę się boją, odpowiadały, że gdy straszą to dostają cukierki. Jeśli dorośli nagradzają słodyczami „takie niewinne”, złe odruchy, to pytam - dlaczego nie pójść dalej? Tylko, co będzie? Dzieci rosną, a wraz z nimi ich wspomnienia, nawyki, nauka, zmienia się wychowanie w domu, szkole, środowisku.

Zapytałam dzieci, co zrobić, by było dobro na świecie? Odpowiedź usłyszałam jedną: trzeba dbać o nie jak o zwierzątko i karmić, by zdrowo rosło. Nie zapytałam o zło, bo bałam się odpowiedzi, która nasuwa się sama. A przecież większość z nas lubi, gdy w filmach, bajkach i w życiu jest szczęśliwe zakończenie.

Aldona M. Peplińska
Motarzyno

Autorka jest lokalną poetką, piszącą m.in. wiersze i bajki dla dzieci.



Adwent, czyli czas oczekiwania

Zawsze adwentowym przygotowaniom do świąt Bożego Narodzenia towarzyszyła pamięć o ubogich, potrzebujących wsparcia



Fot. J. Maziejuk

lub 14 listopada (tj. po św. Marcinie, obchodzonym 11 listopada) i nazywany był czterdziestnicą, ponieważ trwał aż czterdzieści dni, w czasie których obowiązywała abstynencja małżeńska, zakaz wojen, wesel, hucznych zabaw. Początkowo Adwent był przygotowaniem do święta Epifanii, czyli święta upamiętniającego trzy biblijne wydarzenia: chrzest (Baptismus), wesele w Kanie Galilejskiej (Matrimonium) i pokłon mędrców (Cogito - poznaję), co zapisywano na drzewiach jako CMB (KMB). Później dopiero, od V wieku czterytygodniowy Adwent stał się czasem oczekiwania na Boże Narodzenie.

Na wsi na Podlasiu Adwent chłopcy ogłaszali trąbieniem na ligawach. Granie to nazywane było tam otrąbianiem, czyli ogłaszaniem Adwentu. Ligawki przypominały trąby Archaniola oznajmiające nadejście Zbawiciela i Sądu Ostatecznego. Był to znak, że mają zamilknąć instrumenty muzyczne:

*Święta Katarzyna klucze pogubiła,
Święty Jędrzej znalazł, zamknął skrzypki zaraz.*

Rankiem, skoro świt, wszyscy spieszyli na mszę roratną, której nazwa pochodzi od słów: rorate caeli desuper (spuście rosę niebios). Msza odprawiana była przy zapalanej roratce, czyli przewiązanej niebieską szarfą świecy symbolizującej Najświętszą Pannę Maryję.

Historia mszy roratnej w Polsce nie jest do końca wyjaśniona. Prawdopodobnie w Poznaniu wprowadzono ją na prośbę księcia Przemysła I, a w Krakowie dzięki wstawiennictwu św. Kingi zarządził ją Bolesław Wstydlivy.

Na ołtarzu w niektórych kościołach stawiano lichtarz z siedmioma świecami symbolizującymi stany społeczne: króla, prymasa, senatora, szlachcica, żołnierza, kupca i rolnika. Zwyczaj opisał wierszem Syrokomla:

*Od Bolesława, Łokietka, Leszka
Gdy jeszcze w Polsce Duch Pański mieszka,
Stał na ołtarzu przed mszą roraty
Siedmioramienny lichtarz bogaty.
A stany państwa szły do ołtarza,
I każdy jedną świecę rozżarza:*

(...)

*Tak siedem stanów z ziemscy całe
Siedmiu płomieniami jasno gorzały,
Siedem modlitew treści odmiennej
Wyrażał lichtarz siedmioramienny.
Lecz roratnego całość lichtarza
Wspólną modlitwę kraju wyrażą.
A na ten lichtarz - komuż to dziwo,
Że Pan Bóg spuszczał rosę ożywną?
Królowie dobrzy i dobrej mocy,
Pasterze Pańscy duchem wysocy,
Senatorowie w radzi niezłomni,
Ziemianie w sejmach na prawo pomni,
Żołnierz jak olbrzym szedł jeden za stu,
Kupiec przynosił bogactwo miastu,
Swobodny kmiotek, jak las miał zboże -
Gotowi byli na Sądy Boże.*

*(Władysław Syrokomla:
Staropolskie roraty, fragment XII)*

Współcześnie zamiast świec dzieci niosą elektryczne lampiony, a roraty ze względu na szkolne obowiązki odbywają się po południu lub wieczorem.

Szczególną oprawę na czas Adwentu mają kościoły i domy wiernych. W kościołach rezygnuje się z wystroju kwiatami, a jedyną ozdobą jest wieniec adwentowy z czterema świecami, zapalonymi po kolei w następujące po sobie niedziele, aż do Wigilii.

Wieniec adwentowy ma ciekawą historię. Jego pomysłodawcą jest ewangelicki pastor Johann Hinrich Wichern. W 1839 roku wraz z wychowankami świetlicy w pierwszą niedzielę Adwentu zapalił, dla uzyskania nastroju do modlitwy, świecę umocowaną na drewnianym kole. W kolejne dni zapalano następną, aż do Wigilii, razem było ich dwadzieścia cztery. Z czasem koło ozdobiono gałązkami, a ilość świec zmniejszono do 4. Zwyczaj szybko

Pierwsza niedziela Adwentu rozpoczyna nowy rok liturgiczny. Wypada to zazwyczaj między 27 listopada a 3 grudnia. W tym roku Adwent rozpoczyna się 30 listopada. Nie ma to nic wspólnego z fajerwerkami, hucznymi zabawami i całą oprawą rozpoczęcia roku kalendarzowego, czyli popularnym sylwestrem, ale fakt faktem, rozpoczyna się okres ważny w Kościele, wchodzimy w czas przedświąteczny, czas oczekiwania. Niestety, współczesność zapomniła o duchowości na rzecz komercji, efektu handlowego.

Pierwsze wzmianki o Adwencie pojawiły się w 388 roku w dekreście synodu odbytego w Saragossie. W wieku V i VI czas oczekiwania trwał, podobnie jak wielki post, czterdzieści dni, rozpoczął się 12

się upowszechnił, a w latach dwudziestych XX wieku wieniec adwentowy przyjęli katolicy, również w Polsce.

W domach ewangelickich i anglosaskich wieniec adwentowy (bez świec) jako wyraz domowej ludowej pobożności zawieszają się na drzwiach.

Na zachodzie, a coraz częściej i u nas w domach gdzie są dzieci, przygotowuje się kalendarze adwentowe z dwudziestoma czterema okienkami, w których każdego kolejnego dnia na milusińskich czekają niespodzianki. Niekiedy kalendarz adwentowy tworzą dwadzieścia cztery świece.

Zawsze adwentowym przygotowaniom do świąt Bożego Narodzenia towarzyszyła pamięć o ubogich, potrzebujących wsparcia. W 1840 roku w Warszawie utworzone przy kościele bernardynów na Krakowskim Przedmieściu bractwo roratnie, którego członkiem był poeta i opiekun dzieci Stanisław Jachowicz, za sprzedane roratki (świece) przygotowało upominki dla ubogich dzieci. Zwyczaj przetrwał. Świece rozprowadzają księża i organizacje charytatywne, w tym Caritas.

W bogactwie ludowych zwyczajów, szczególnie dotyczących zamążpójścia, są i takie, które mają początek w Adwencie: wracające z kościoła panny pytały napotkanych mężczyzn: roracie, roracie, jak na imię macie? Odpowiedź była wskazówką, pod jakim imieniem szukać męża. Zwyczaj znalazł odbicie w przysłowiach:

*Kto się zaleca w adwenta,
będzie miał żonę na święta.
W adwencie same zięcie,
w karnawale nie ma wcale.*

Rytuały dotyczyły również zajęć gospodarskich, według nich należało zaniechać prac polowych, ponieważ:

*Kto ziemię w adwent pruje,
ta mu trzy lata choruje.
W adwenta spoczywa ziemia święta.*

Współczesnym uzasadnieniem jest zalecenie agrotechniczne, by ziemię na zimę zostawiać w tzw. ostrej skibie lub obłazie oziminy.

W wymiarze zarówno świeckim, jak i religijnym w czasie Adwentu spotkano się w domach do skubania pierza, przędzenia, łuskania fasoli, robienia ozdób. Był to dobry czas do wspólnej modlitwy i religijnego śpiewu, ale również niesamowitych opowieści, sąsiedzkich ploteczek i kłótni. Na wschodnich terenach Adwent nazywano czasem swadziebnym. Pod okna często przybiegali kawalerowie z umazanymi sadzawkami, w przebraniu, aby postraszyć panny.

Na Pomorzu i Kaszubach chodzili przebierańcy nazywani gwioźdzkami z gwizdem, bębenkami, piszczałkami oraz słomianym batem na niegrzeczne dzieci

i workiem łakoci dla grzecznych, dobrze znających pacierz.

Gdzie indziej, na przykład w okolicach Pińczowa, trzeba było zebrać, poczynając od św. Łucji do Wigilii dwanaście nadpalonych szczap. Rozpalano z nich w Wigilię ogień, rozgrzewano na nim cegłę, w którą trzeba było uderzyć nowym sierpem. Kobieta, która przyszła na „wezwanie” pojawiającej się iskry była uosobieniem czarownicy. Goszczono ją, aby zapewnić zdrowie żywemu dobytkowi.

Tam również w dzień św. Łucji wrócono urodzaj na przyszły rok. W tym celu napełniano wodą butelkę, a w dzień Wigilii sprawdzano, ile jej ubyło. Jeśli dużo, było to wróżbą suszy i nieurodzaju. Odliczano również dni od Łucji do Wigilii zapisując pogodę. Kolejne dwanaście dni odpowiadało dwunastu miesiącom.

We wszystkich regionach w czasie Adwentu obowiązywał post, rezygnowano z tłuszczu zwierzęcego na rzecz olejów roślinnych, w tym popularnego oleju lnianego. Szyunki, kielbasy musiały poczekać do Bożego Narodzenia.

Bogactwo regionalnych zwyczajów jest już tylko etnograficzną ciekawostką i niewielu o nich pamięta. Są one świadectwem wierzeń i wyobrażeń, ale również więzi łączących regionalne wspólnoty. Może warto przypomnieć dawne tradycje, choćby dla symetrii wobec zwyczajów obcych i handlowego rejuwachu Adwentu.

Czesława Długoszek, Objazda

Co zostało z tych lat?

Przed kilkoma laty jako reprezentant seniorów przypominałem nowowwybranym, że powodzenie zależało wedle starożytnej legendy od pocałunku muz

Jestem z pokolenia, dla którego najważniejsze było przeżycie godne czasu powszechnej niegodziwości, zwanego czasem pogardy. W tym przeżyciu, wtedy nawet mało uświadamianym był sens życia. Przeżyć i przetrwać godnie - oto był sens życia. Obudzony o północy gotów jestem zawołać „Quo usque tandem abutere patientia nostra!” Jak długo jeszcze będziesz nadużywać naszej cierpliwości, pokazując swoją złość? Nie wiem. Poczekam. Wiem jednak, bom historyk i filozof, że żaden po nim jurysta nie stał się parlamentarną tą klasą. Może żaden nie kierował się zasadą, też z tamtych czasów, że cokolwiek robisz, patrz, co z tego wyniknie! Quidquid agis, respice finem! Przed kilkoma laty jako

reprezentant seniorów przypominałem nowowwybranym, że powodzenie zależało wedle starożytnej legendy od pocałunku muz. Zaproponowałem, aby odpowiedzieli na pytanie, w co ich muzy pocałowały, że w tych fotelach usiedli. Dziś odpowiedź znam.

Tak po latach wspominam tamte nauki, bo wedle nich chwalimy dawne czasy, żyjemy w dzisiejszych. To młodzieńcze zauroczenie Starożytnością, głównie jej ideologią i kultem piękna, pozostało do dziś. Pozostały jednak po Starożytności, coraz mniej cenione, wartości, których ludzkość się nigdy nie pozbędzie. Wtedy bowiem zaczęło się poszukiwanie człowieczeństwa w osobnikach bytujących w warunkach nieprzyjaznej przyrody, do których nie byli

zupełnie przystosowani. Na czele bowiem królestwa zwierząt znalazł się stwór zwany człowiekiem, najmniej gotowy do trwania w przyrodzie. Tak zrodziła się pierwsza filozofia, czyli jońska filozofia przyrody. Szukał więc tego, co później określono jako modus vivendi, czyli sposobu na życie. Ale też i na współżycie.

Tak powstawały zasady i normy, czyli etyka. A w niej uwielbienie dla szlachetności, godności, honoru i piękna. Zachowanie godności we wszelkich warunkach, honoru gdy się przegrało - oto co nam z tamtych lat pozostało. Każdy ma swoje Termopile, to znaczy, że każdy gotów jest przeżyć klęskę ostateczną, ale nawet wtedy nie sprzeniewierzyć się przyjętym zasadom lub nie ponieść ujemy na honorze.

Pozostało po tamtych latach, bogach, bóstwach i ludziach umiowanie piękna połączonego ze szlachetnością. Pozostało też umiowanie szczęśliwego życia i tęsknota do takiego życia, gdy go już nie staje.

Gdy przed kilkudziesięciu wiekami pytano, czy z tarczą, tylko bogowie znali odpowiedź a Pytia plotła trzy po trzy (ciekawe, telewizji wtedy nie było), co nam do dziś pozostało, kiedy obiecują nam, co ma być jutro. A śmiertelnicy? Popijali, zakaszali i cieszyli się życiem. Czego i Wam dziś życzę.

Zdzisław Stankiewicz, Słupsk

Najpiękniejsze, chociaż najbardziej skromne były święta w czasach dzieciństwa. Na długo już czuło się dziwne podniecenie. Mama szyla nam nowe sukienki, sąsiadki częściej wpadały, prosząc o pomoc w krawieckich problemach. W kuchni dojrzewała kiszona kapusta w ogromnej beczce, odbyło się też świniobicie. Tata wyjeżdżał do miasta po zakupy. Z jednej takiej wyprawy przywiózł coś, co nie dawało spokoju. Schował wysoko na kredensie kuchennym. Schowek okazał się niezbyt bezpieczny. Sposobem dostałam się do mojego obiektu pożądnia. Były tam w papierowej torebce suszone śliwki. Spróbowałam jedną, potem drugą i tak przez następne dni ciągle mnie kusiło, żeby sięgać do torebki. Na wszelki wypadek zostawiłam kilka, bo Wigilia była już blisko. Jaką była rozpacz mamy, gdy odkryła, że nie ma potrzebnych jej śliwek. Winowajczyni nie trzeba było daleko szukać. Dostało mi się łańsko. Było poczucie wstydu i w ogóle głupio i przykro. Zapamiętałam ten incydent na całe życie.

Tata przed Wigilią zawsze jechał do lasu po drzewo na opał, jakąż była radość gdy na furze zieleniło się drzewko. To nic że było trochę za wysokie. Nie mieliśmy wiele ozdób, zaledwie cztery bombki, jeden mały dzwoneczek - tyle ocalało po poprzednich właścicielach niemieckich. Ale był własnoręcznie zrobiony ze słomy i kolorowej bibuły łańcuch. Dekorację dopełniały kolorowe cukierki (następna moja pokusa), czerwone jabłka, malutkie świece w metalowych uchwytach przymocowanych do gałązek i ciasteczka upieczone przez mamę ze specjalnymi dziurkami zrobionymi naparstkiem - żeby było łatwo przeciągnąć zawieszkę. Taką choinkę zapamiętałam z dzieciństwa. Zapach gotowanych potraw wigilijnych, zmieszany z zapachem rozgrzanej obory, do której chodziliśmy z tatą aby i zwierzętom dać opłatek, aby były zdrowe, na całe życie został mi w pamięci.

Jakże było cudownie leżeć w łóżku pod ciepłą kołderką, kiedy mróz malował na szybach rajskie ogrody, choinka pachniała lasem, a wyobraźnia podsuwała nowe przygody. Gdy skończyło się dzieciństwo, nastały inne święta, bez magii świętego Mikołaja, bardziej zabiegane, pracowite, zatroskane o rodzinę. Byłam mamą trójki małych urwisów, którzy też z niecierpliwością wyglądali świąt i choinki. Mąż pracował w ówczesnym PGR, ja prowadziłam nasze własne gospodarstwo rolne. Finansowo staliśmy nie najgorzej, więc i choinka z roku na rok była strojnieszka i bogatsza. Nie przypominała już tej z lat dziecięcych. Pojawiły się modne prezenty, wszyscy - dzieci i dorośli cieszyliśmy się z hojności Mikołaja. Cieszyły narty, samochodzik, różowa torebka... Dzieci wiedziały, że wigilijny wieczór zrekomensuje im całodzienną harówkę w gospodarstwie. Mąż w Wigilię nie pracował w pegeerze, więc ten dzień w

Moje święta bywały różne. Niektóre zapadły w pamięć głębiej, niektóre mniej. Ozdobą zawsze była choinka, nic tak nie cieszyło, jak właśnie to zielone drzewko

A duchy ich sfruną aniołami...



Fot. J. Maziejuk

gospodarstwie naszym był niezwykle pracowity. Trzeba było naciąć siewki dla krów na całe święta, nanieść z kopców do obory brukwi, buraków, nastawić parniki z ziemniakami dla świń, narząbać drewna na opał, żeby broń Boże nie zbrakło podczas świąt. Ze wszystkich kopców i boksów powyrzucać gnój, narzucać nowej podściółki, żeby

i zwierzęta miały sucho i czysto. Ja w ten dzień zwolniona byłam z prac gospodarskich, bo zajmowałam się kuchnią i przygotowaniem wigilijnej kolacji, na której zwykle gościliśmy całą rodzinę. Gdy nastał rok ze stanem wojennym w sklepach brakowało wszystkiego, wprowadzono kartki żywnościowe. Nam, mieszkańcom wsi nie

działo się najgorzej, mieliśmy swoje mięso, mleko. Mąż nie palił papierosów, więc wymienialiśmy je na cukier. Również alkohol nie zawsze był potrzebny, to wymienialiśmy go na środki czystości.

Swięta 1982 roku były dla mnie szczególne. Nasza rodzina powiększyła się o jeszcze jedną małą istotkę. Po szesnastu latach urodziłam synka, Pawła. W święta miał już ponad miesiąc, cała rodzina była zachwycona maleństwem. Od tego roku jeszcze było w moim życiu czternaście szczęśliwych i piękniejszych jednych od drugich świąt i choinek. Do strasznej chwili w 1996 roku, kiedy na zawał serca zmarł mój kochany mąż. Osierocił dzieci, zostawił gospodarstwo, które było już teraz tylko na mojej głowie. Chojnka i święta w tym roku były bardzo smutne. Drzewko wprawdzie było, ale jakieś krzywe i nie świerkowe, lecz z sosenki, pachniało inaczej, nikomu nie chciało się go stroić. Ciężko było przeżyć Wigilię. Puste miejsce przy stole miało nadto wymowne znaczenie. Przy wielu obowiązkach gospodarskich nie miałam jednak zbyt wiele czasu na rozpamiętywanie, trzeba było ostro zabrać się do pracy. Gospodarstwo pomogli mi prowadzić synowie - Andrzej i Paweł. Powoli odbudowywało się moje życie. Wigilie i święta staraliśmy się spędzać zawsze rodzinnie. Ale, o ile zaraz po

śmierci męża zawsze wszyscy się gromadzili przy jednym stole, tak z upływem czasu nie wszystkim pasowało, żeby tego dnia przyjechać. To pogoda nie dopisała, były też

zobowiązania wobec drugiej rodziny. Staralam się to zrozumieć, bo lata mijały i dzieci zakładały swoje rodziny. Miały swoje sprawy, swoje problemy. Coraz bardziej dokucała mi samotność, szczególnie właśnie w święta. Rozpamiętywałam, co minęło bezpowrotnie.

Rozpamiętywałam, co minęło bezpowrotnie.

Wkońcu i do mnie uśmiechnęło się jeszcze szczęście. Uśmiechnęło się czarnymi oczami, grając na trąbce. Kiedy przestało grać, powiedziało mi wszystko, na co czekałam wiele lat. Mimo pięćdziesięciu lat zakochałam się ponownie i wiedziałam, że z wzajemnością. Wzięłam z Józem ślub, byłam już emerytką i zamieszkałam w mieście. Moje życie zaczęło się na nowo. Od tego czasu wszystkie moje święta zapisywałam wielkimi literami, były znowu szczęśliwe, jak dawniej, a może nawet jeszcze szczęśliwsze. Wszystko układało się dobrze. Żyliśmy po to, by dawać sobie radość. Nasze dzieci były już dorosłe, nie mieliśmy problemów ze zdrowiem, łączyła nas wspólna pasja, jaką była muzyka. Założyliśmy kapelę, z którą wyjeżdżaliśmy nawet za granicę.

Wiedliśmy szczęśliwe życie pełne miłości i zrozumienia. Ale to nie mogło trwać wiecznie. Znowu powalił mnie niespodziewany los. Mój kochany mąż dostał poważnego udaru i po niecałych dwóch dniach, nie odzyskując przytomności, zmarł w szpitalu. I znów świat zrobił się czarny i straszny. Przyszły pierwsze samotne święta, nic nie cieszyło, wspomnienia rozdzierały serce. Józek przywiązywał dużą wagę do wyboru choinki, lubił wybierać osobiście drzewko, przycinał, oprawiał w stojak, kupował oświetlenie, piękne ozdoby. Cieszył się jak dziecko, kiedy już w całej krasie błyszczała wieczorem. Słuchaliśmy pięknej muzyki z płyt, których mieliśmy wiele. Gdy odszedł nie chciałam mieć w święta choinki, nie czułam żadnej radości. Na nic zdawały się pocieszenia dzieci i przyjaciół.

Na dzień przed Wigilią zadzwonił do mnie syn Paweł z zapytaniem, czy jestem w domu, bo chciałby przyjechać. Kiedy otworzyłam mu drzwi, oniemiałam ze zdziwienia, bo w nich stało piękne zielone drzewko. Myślałam, że kupił sobie sztuczną choinkę, taka była równiutka i zgrabna. Okazało się, że kupił dla mnie prawdziwą jodełkę, jakiej nigdy nie miałam, bo zawsze mi się wydawała za droga. A tu taka niespodzianka... Powiedział, że nie może tak być, żeby jego mama nie miała na święta choinki, nawet w tak smutnym czasie. Sprytnie obsadził drzewko w stojaku, sięgnął po pudła ze świecidelkami i sam je przystroił. Ja siedziałam i płakałam. Kiedy już rozbłysły lampki to poczułam się jakby mniej samotna. Jakiś czar, jakaś magia sprawiła, że poczułam, że Józek jest ze mną, jakby uśmiechał się z fotografii na ścianie.

Niestety, jego ulubiony zegar nieubłaganie wskazuje mijający czas. Czas, który nas od siebie oddała. Z biegiem lat zostawiłam za sobą wiele wspomnień, na cmentarzach wiele mi drogich osób. Jednak wierzę, że duchy ich sfruną aniołami w te i kolejne święta, że będą ze mną, że zasiądą na pustych miejscach przy wigilijnym stole.

Henryka Jurałowicz-Kurzydło, Słupsk

Na wniosek Stowarzyszenia Polskich Mediów Jan Maziejuk ze Słupska został uhonorowany prestiżową Nagrodą specjalną Marszałka Województwa Pomorskiego za wybitne zasługi w dziedzinie twórczości artystycznej oraz upowszechniania kultury.

Uroczystość odbyła się 14 listopada w Sali Rycerskiej Zamku Książąt Pomorskich w Słupsku, w obecności władz samorządowych miasta i powiatu słupskiego oraz animatorów i twórców ze słupskich placówek kultury i stowarzyszeń. Nagrodę J. Maziejukowi wręczył wicemarszałek dr Czesław Elzanowski. Po nim wiele ciepłych słów skierowali do Janka inni goście spotkania, m.in. starosta słupski - Sławomir Ziemanowicz. Wiceprezydent Słupska - Andrzej Kaczmarek wręczył Janowi Medal Rady Europy dla Słupska (tylko cztery polskie miasta go posiadają), a dyrektorka Muzeum Pomorza Środkowego w Słupsku - Marzenna Mazur obdarowała go Medalem 90-lecia Muzeum, które niedawno obchodziło swój jubileusz.

Dodatkową atrakcją dla zgromadzonych przyjaciół Janka było zwiedzanie wystawy „Słupsk wczoraj i dziś”, której znaczną część stanowią jego zdjęcia. Spotkanie miało charakter uroczysty, ale po oficjalnych i przyjacielskich laudacjach przerosło się szybko w towarzyskie pogaduszki starszych i młodszych znajomych. Bo była to znakomita okazja do niecodziennego zebrania się w tak liczny gronie.

Jan Maziejuk urodził się 16 maja 1938 roku w Jagodnicy na Podlasiu. W wyniku działań wojennych znalazł się w domu dziecka. W tamtym czasie ukończył zasadniczą szkołę zawodową w Białej Podlaskiej, a niecały rok później został zwerbowany do pracy na Ziemiach Odzyskanych. Po przyjeździe w marcu 1956 roku do Miastka w województwie koszalińskim został porzucony przez werbownika, lecz szczęśliwie sam znalazł pracę w pobliskim PGR. Pracował jako ślusarz, następnie - instruktor kulturalno-oświatowy, prowadził zakładową świetlicę i opiekował się radiowęzłem. Dostał służbowy, małoobrazkowy aparat fotograficzny „Zorka” i tak zaczęła się jego pasjonująca przygoda z fotografią. Udzielał się w miasteczkim domu kultury, potem podjął etatową pracę w Fabryce Rękawiczek i Odzieży Skórzanej w Miastku. W 1972 roku nastąpiła fuzja podobnych zakładów i powstał kombinat Północne Zakłady Przemysłu Skórzanego „Alka” w Słupsku. Jan Maziejuk został w nim fotoreporterem i członkiem redakcji tygodnika „Konfrontacje”. Współpracował także z dziennikiem „Głos Koszaliński”. Z czasem nawiązał współpracę ze słupskimi „Zbliżeniami”. W okresie słupskiej „Solidarności” i w stanie wojennym robił znakomite fotoreportaży. Po okresie transformacji ustrojowej pracował jako fotoreporter w

Za prawdę i piękno

W Janie Maziejuku widzę cechy bohaterów powieści wybitnego prozaika Wiesława Myślińskiego. Myślę, że odziedziczył ethos chłopskiego środowiska, z którego się wywodzi

wszystko, robotników przy pracy, polityków na plakatach, psa przy budzie z anteną satelitarną...

A tak wspomina go słupska pisarka Jolanta Nitkowska - Węglarz, szefowa Oddziału ZLP, niegdysiejsza koleżanka redakcyjna: „Jasiu Maziejuk i ja mieliśmy zajmować się przybliżaniem Kaszub czytelnikom „Zbliżeń”. Raz, a czasami dwa razy w tygodniu ruszaliśmy w teren, w miarę upływu czasu coraz bardziej zagłębiając się w kaszubskie wioski i rodziny. Zналиśmy Kaszuby jak własną kieszeń. Przekazywano nas sobie z rąk



Fot. Archiwum Autora

największej gazecie na Środkowym Pomorzu - „Głosie Pomorza”. Okazjonalnie współpracował też z mediami ogólnopolskimi, m.in. z „Gazetą Wyborczą”.

Od 1998 roku jest na emeryturze, ale nie ma żadnego wydarzenia kulturalnego czy społecznego w Słupsku i okolicach, gdzie nie byłby obecny ze swoim aparatem. Dalej publikuje i wystawia swoje prace. Szczególnie związał się ze Starostwem Powiatowym w Słupsku i jego periodykiem „Powiat Słupski”.

Za tą suchą, biograficzną notką kryją się losy człowieka, którego droga życia egzemplifikuje dramat wielu tysięcy Polaków, często wyzbytych ojcowizny i tworzących powojenną historię naszego kraju w nowym miejscu zamieszkania. Tutaj się osiedlili, założyli swoje rodziny, pracowali, wychowywali dzieci, słowem - budowali nową tożsamość polskiego Pomorza. Wszystko to dokumentują dziesiątki tysięcy zdjęć jednego z nich.

Osierocony chłopiec z Podlasia, samouk, stał się uznanym reporterem i artystą fotografikiem.

Dla mnie fenomenem jest jego droga i postawa życiowa. To niezwykle pracowity, skromny, życzliwy i mądry człowiek. Widzę w nim cechy bohaterów powieści wybitnego prozaika Wiesława Myślińskiego. Myślę, że odziedziczył ethos chłopskiego środowiska, z którego się wywodzi. Nigdy nie narzekał, nie lamentował, z pokorą znosił rzeczywistość, w której żył. Robił swoje. Wydaje mi się, że bez tych przymiotów nie byłoby takich świetnych fotografii. Są one owocem wielkiej wrażliwości, wspomnianej już intuicji i empatii. Janek kocha ludzi. W swojej twórczości nie kreuje rzeczywistości, on ją utrzuca w kadrze. Dlatego te zdjęcia są takie autentyczne. Kiedy na nie patrzymy, mamy wrażenie zanurzenia w ówczesnym czasie. Janek patrzy przez szkiełko obiektywu na pastucha krów, dygnitarzy partyjnych, dzieci w pegeerze, szare kolejki po

do rąk, a „kaszubski” dorobek gazety stawał się coraz zasobniejszy. Zajmowaliśmy się kaszubskimi zwyczajami, kuchnią, lokalnymi wierzeniami, historią rodów, kulturą, a nawet zabobonami. (...) Jasiu Maziejuk jest autorem prawie wszystkich zdjęć znajdujących się w moich książkach o Pomorzu. Żaden fotografik nie ma takiej jak on intuicji i takiego specyficznego zmysłu kompozycyjnego”.

Nie da się w krótkiej opowieści zawrzeć wielu szczegółów z jego bogatego życia, przybliża je książka „Krekołaj (słupski), którą ostatnio wydał. Wrodzona inteligencja, wrażliwość, niezwykle poczucie estetyki i azymut moralny, pozwoliły mu przez całe życie trwać po stronie prawdy i piękna. Przywołanma książka to opus magnum Jana Maziejuka, zwierciadło jego pięknej duszy, a zarazem niezwykle dokument o powojennych przemianach społeczno-kulturalnych na Pomorzu Środkowym.

Leszek Kreft, Ustka

osierocony chłopiec z podlasia stał się uznanym reporterem i artystą fotografikiem

oddął swoje kłopoty, przeżycia i radości w sposób wyjątkowo dostępny i zrozumiały

Losy zapisane

Kiedy 7 stycznia 2010 oku Jan Maziejuk - zapewne w przypiływie dobrego humoru zadedykował mi swój album fotografii „Tak to widziałem” - w pierwszym odruchu pomyślałem, że do tych wspaniałych zdjęć przydałby się tekst



Po czterech latach doczekałem się albowiem biograficzna opowieść „Krekodaj (śląski)” to moim zdaniem kontynuacja powyższego albumu dająca pełną satysfakcję czytelnikom.

Wydarzenia budujące biografię Jana Maziejuka, jego rodziny najbliższej i dalszej zainteresują wszystkich. Równie blisko tamtych czasów znajdą się rówieśnicy Jana, do których i ja się zaliczam. Czytając „krekodaja...” znalazłem się jakby obok niektórych wydarzeń znanych mi z autopsji. Odnalazłem nazwiska kolegów - Wacława Pomorskiego ze zwrotką pięknego wiersza „Ojczyzna: ...dziś byłbym bez niej jak bez matki / bezdomnym dzieckiem / wpół rozdartym żaglem...”, Krzysztofa Sławskiego - wtedy dziennikarza „Głosu Pomorza”, a nawet mojego bliskiego kuzyna Romana Kurnatowskiego - składającego wieniec w imieniu „Solidarności”, Leszka Krefta - krewniaka mojej żony, którego ojciec Hubert wraz ze Stanisławem Szeoderem, nauczycielem z Kłęczna gościł Melchiora Wańkowicza zbierającego materiały do opowieści o losach „Gryfa Pomorskiego”. Ucieszył

mnie krótki wątek dotyczący Bytowa i wsi Niezabyszewo. Fotografował tam pochody i mówców na trybunach, Edwarda Gierka i biskupa Krupę.

Jan Maziejuk, wychowany w chłopskiej tradycji Podlasia, oddał nam swoje kłopoty, przeżycia i radości w sposób wyjątkowo dostępny i zrozumiały. Wspólnie z nim i jego rodziną uczestniczymy w przebogatym scenariuszu godnym filmowej realizacji. Przeżywamy okres dzieciństwa, młodzieńczego dojrzewania, pierwsze samodzielne decyzje, prace i pieniądze, miłości i przyjaźnie przedstawione w gwarowym języku podlaskiej wsi, pełnym przysłów, powiedzonek i zwyczajów. Ten rys biograficzny poszerzony o historię w sposób niebywale ścisły zadziwia ilością szczegółów popartych datami. Uwzględnia pory roku, dni, a nawet pory dnia, godziny i minuty wydarzeń przez co staje się podręcznikiem pełnym informacji i opisów nieznanych i niepublikowanych.

Czas dorosłości Jana Maziejuka przypadł na okres wielkich zmian politycznych i ustrojowych. Prowokował do czynnego uczestnictwa w powstawaniu nowego polskiego świata, wytyczał kierunek drogi, jaką kroczy obecnie. Zaangażowanie w działalność polityczną związaną z ruchem „Solidarności” zajmuje znaczną część biografii. Determinacja z jaką zabrał się do pracy z aparatem fotograficznym pozwoliła na czynny udział w sprawach, od których nie było ważniejszych, cyt.: „...fotografia poza informacją wyzwała emocje wpływając na opinie, zachowania, postawy jednak tylko wówczas, gdy jest wiarygodna, szczerza i uczciwa.” Zadziwia zakres działań Jana

Maziejuka. Od mechanika po zawodowcę, kierowcę, organizatora kultury do dziennikarza i wymarzonego fotoreportera - publicystę. I Bóg jeden wie, kogo jeszcze. Czytelnik zauważy zapewne wszechstronność i umiejętności Jana. To dzięki nim utrzymywał się na powierzchni. Stworzył własną re-



ceptę na życie człowieka z Podlasia zaprawionego w pokonywaniu złośliwości losu. Z czasem przybywało obowiązków reporterskich, wyjazdów do Archangielska, Szwecji i na Bornholm. Znalazł czas by wspólnie z



Fot. Archiwum J. Maziejuka

czeski kolegi eksperymentować w miasteczkiej pracowni fotograficznej, pracując nad rodzącą się techniką kolorowania fotografii. Wieloletni okres pracy w Miastku, współpraca z Fabryką Odzieży Skórzanej, gdzie jako technik - mechanik maszyn szyjących nie miał sobie równych. Wspominał moje wyjazdy do

Kamnicy pegeerowskiej wsi koło Miastka. Pomagaliśmy przetrwać wożąc żywność i odzież ośmioosobowej rodzinie wegetującej po likwidacji PGR. Widoku sześciorga dzieci siedzących posłusznie przy stole wokół ugotowanego świńskiego łba nie zapomnę. Pracując w słupskiej „Alce” Jan Maziejuk uczył się nowego zawodu. Jak znaleźć czas na naukę wiedział tylko on. Uczestniczył w kursie organizowanym przez Stowarzyszenie Dziennikarzy Polskich w Warszawie. Spotykał

się tam z bratem Henrykiem, zawodowym dziennikarzem. W Słupsku pracował w redakcji „Zbliżenia wspólnie z dziennikarzem Zbigniewem Babiarem-Zychem, nawiązując przyjaźnię trwającą do dziś. Współpracował z kilkunastoma redakcjami gazet w kraju, fotografował słupskie wydarzenia sportowe, drużynę „Cieślików”, bokserów, siatkarki „Czarnych”. Dużo podróżował za granicę i fotografował. Fotografował...

Śledząc losy Jana Maziejuka nie mogę oprzeć się wrażeniu, że uczestniczę wraz z nim w przygodzie jego życia. Szczegóły wspomnień, godne podziwu osiągnięcia, szeroki zakres wiedzy z różnych dziedzin wywołują zdumienie. Udział w licznych (pięćdziesięciu dziewięciu) indywidualnych i zbiorowych wystawach, w czterdziestu dziewięciu konkursach krajowych i zagranicznych, współpraca z dwudziestoma czterema redakcjami i wydawnictwami, liczne nagrody i wyróżnienia nobilitują go do miana twórcy kulturalnych rozdziałów historii ziemi słupskiej.

Pan Jan zdobył przez wiele lat swoimi fotografiami antologię poezji wydawaną przez słupskie starostwo stał się częścią naszej społeczności twórczej, a prezentując nam w „Krekodaju (słupskim)” przebogate w wydarzenia życie, tą więź jeszcze scementował. Życzę, aby jego reporterska, nieposkromiona dusza nie zrażona emerytalną beczynnością dostarczała mu - i jego aparatowi niezliczonych tematów. Aby mógł - jak pisze - nadal kroczyć drogą jaką przeszedłem indywidualnie, by w nią wrosnąć i poczuć na zawsze jej rytm.

Andrzej Szczepanik, Bytów

69 dużych rozmiarów fotografii złożyło się na szczególną wystawę o dzieciach

Oczami matki

W Gminnej Bibliotece Publicznej w Kobylnicy oraz w tamtejszym Gminnym Centrum Kultury i Promocji odbył się wernisaż ogólnopolskiej wystawy „Oczami matki”. Pomysłodawcą wystawy jest Anna Ajtner, która zaprosiła do udziału w niej dwadzieścia dwie fotografujące mamy z Polski i zagranicy, m.in. z Holandii, Irlandii Nowej Zelandii. Na ekspozycję złożyło się 69 dużych rozmiarów fotografii opowiadających o dzieciach, ich świecie, emocjach oraz najbardziej ulotnych chwilach widzianych okiem matki. Jest to również historia grupy kobiet, które dzięki własnym dzieciom wyruszyły po nową przygodę życia z aparatem fotograficznym w rękę.

Wystawa ta prezentowana jest w różnych miastach w kraju i za granicą. Rzuciła się pierwszego maja na Zamku Krzyżackim w Świeciu. Wśród jej uczestniczek jest m.in. Ewa Ignatowicz, mieszkanka Słupska, zawodowo związana z gminą Kobylnica. To dzięki niej można było oglądać ją też w naszym regionie. Fotografowanie to dla niej wielka pasja. Dokumentuje przede wszystkim życie swojego synka, a także coraz częściej dzieci swoich znajo-

Dalszych sukcesów w fotografii i kolejnych wystaw życzył wówczas jej wójt gminy - Leszek Kuliński. I życzenia te się spełniły. Kobylnicki wernisaż artystycznie upiększyli mali i dorośli wykonawcy. Bardzo długi i piękny wiersz o mamie wyrecytował syn pani Ewy - czteroletni Tomasz. Na skrzyp-



Fot. J. Maziejuk

cach zagrał 8-letni Max Pyzio, uczeń 3 klasy Szkoły Podstawowej w Słupsku, który korzysta z zajęć gry na skrzypcach prowadzonych przez Andrzeja Rajskego w Gminnym Centrum Kultury.

Uczestnicy wystawy w wielką przyjemnością wysłuchali też dwóch wierszy



Fot. J. Maziejuk

mych. Fotografia od zawsze towarzyszyła w jej życiu. Jako małe dziecko pamięta tatę, który wywoływał zdjęcia w domowej ciemni.

Pierwszą swoją indywidualną wystawę miała w 2013 roku w Kobylnicy, została zorganizowana z okazji Dnia Kobiet.

napisanych i wykonanych przez miejscową poetkę - Bożenę Łazorczyk, której pasją jest również fotografowanie. Na zakończenie kilka pięknych utworów o mamie wykonała Anna Pożlewicz, znanana i lubiana piosenkarka pochodząca z Wilna.

Barbara Jęchorek, Kobylnica

Czy wierzysz w przeznaczenie? - zapytał mnie kiedyś nieżyjący już przyjaciel. Nie wiedziałem, co odpowiedzieć, bo nigdy mi takie pytanie do głowy nie przyszło. Owszem, w rodzinnej legendzie była pamięć, że babcia i dwie ciotki orzekły, że będę księdzem lub adwokatem, ale nie spełniła się żadna z tych przepowiedni. Przeznaczony przez nie do obu tych pozycji poszedłem inną drogą. Pewnie gdzieś u początku tej drogi niewiele miałem możliwości podejmowania własnowolnych decyzji. Kiedy się wstecz oglądam, stwierdzam, że najczęściej o życiowym wyborze decydował przypadek. Podobnie o przypadku, jaki decydował w życiu Jana Maziejuka, pisze on sam na początku najnowszej swojej książki, „Krekodaj (słupski)” - „niosło mnie życie lub - jak kto inny powie - los...”

„Wyklęty postań ludu ziemi...” tak zaczyna się pieśń rewolucyjna, przez dziesiątki lat hymn ustroju socjalistycznego, powszechnie zwanego komuną. Tak pewnie mogłaby zaczynać się droga życiowa Jana Maziejuka, syna chłopskiej rodziny z podlaskiej wsi. Jedną z myśli socjologicznych ubiegłego wieku jest twierdzenie, że na skutek przemian powojennych dokonano się wyzwolenie społeczne całej klasy chłopskiej. Z upośledzonej warstwy wiejskiego chłopstwa stało się częścią warstwy rządzącej wespół z klasą robotniczą. Gdy czytam książkę Jana Maziejuka „Krekodaj (słupski)” i oglądam publikowane w niej rodzinne fotki, zaczynam zdawać sobie sprawę z tej tezy, choć to dzieło stanowi obraz jednostkowego jej przykładu. Kilka niewielkich wsi dawniej skupionych w okolicy Białej Podlaskiej dzisiaj istnieje jako podmiejskie okolice tego powiatowego miasta. Wiejska ich społeczność przetrwała tylko w pamiątnikarskim dziele obu przedstawicieli tej chłopskiej rodziny Maziejuków. Czy innych, tego nie wiem. Obaj, starszy Henryk i młodszy Jan, o swoim chłopskim pochodzeniu i swojej rodzinnej ziemi nie zapomnieli. Henryk, mój dawny kolega ze słynnego akademika przy ulicy Kickiego w Warszawie, nie żyje, zostawiwszy po sobie dzieło życia mocniej niż najbliższa okolica z rodzinną wsią związane. Młodszy Jan pozostał, by kontynuować chłopską pamięć o rodzinnej chłopskiej okolicy, która chłopską już nie jest i zdaje się, nawet nie chce o swojej chłopskości pamiętać. Nie stała się osiedlem mieszczańskim, bo mieszczaństwo już istnieć przestało. Stała się podmiejskim osiedlem rzemieślniczym i sypialnią dla trzeciej klasy.

Tu drobna uwaga. W najnowszej biografii Jan Maziejuk pisze, iż brat Henryk mieszkał w akademiku przy ulicy Kajki. Takiego akademika nie było. Nie wiem, czy była taka ulica, gdy my obaj mieszkaliśmy w tamtych studenckich latach w słynnym akademiku przy ulicy Kickiego.

Jest między nami więcej niż różnica pokolenia. Jest między nami różnica

Strony książki Jana Maziejuka pokazują jak ten chłopski syn wrastał w środowisko miejskie. Na jej kartach nie wstydzi się swojej chłopskiej matki, chłopskiego ojca, podobnie jak jego starszy brat, chłopskiego środowiska

Tak to widzę. Nad książką Jana Maziejuka



Fot. Archiwum J. Maziejuka

pochodzenia klasowego. Ja, syn szlacheckiego rodu, mieszczanin, dawno zdeklaszowanego rodu szlacheckiego, Maziejuk - czystej wody chłopski syn, nawet z chłopskiej biedoty, żyjący przykład tzw. awansu społecznego całej klasy chłopskiej. Dla jej przedstawicieli była niegdyś tylko jedna droga awansu: seminarium duchowne lub nauczycielskie i te dwie profesje, dzięki którym można było z niebytu wiejskiej biedoty wyrwać się do świata położonego o jeden szczebel wyżej. Obaj Maziejukowie nie potrzebowali już seminarium, obaj stali się żywym przykładem hasła, zawartego w słowach hymnu „dziś niczem, jutro wszystkim, my”.

Jan Maziejuk wspomina w paru miejscach książki tej i innych o kilkuletnim incydencie w domu dziecka. Obaj bracia Maziejukowie dzieciństwo spędzili właśnie w

domu dziecka. To także mój los, choć w innym kształcie.

Powojenną instytucją opiekuńczą dla rzeszy osieroconych dzieci i młodzieży stały się domy dziecka. Dały schronienie wojennym sierotom i półsierotom. Ich idea była powszechnie stosowaną ideą wychowawczą i drogą ograniczonego rozwoju i awansu. Sam byłem już w roku 1946 wychowankiem takiego domu dziecka. Kiedy w roku 1946 moja matka zorganizowała pierwszy na Pomorzu dom dziecka w Malborku, ja, 17-letni młokos, uczeń gimnazjum zostałem jej pomocnikiem. Przyjęliśmy wtedy około setki dzieci polskich z tzw. dietdoma w Kazachstanie. Wielu z nich dożywa dziś swoich dni.

Idea takiej państwowej instytucji opiekuńczej narodziła się jeszcze w latach tzw. rewolucji socjalistycznej, po pierwszej

Wielkiej Wojnie. Bliski współpracownik Lenina, Łunaczarski, zaproponował, aby objąć opieką tłumy dzieci i młodzieży - wojennych sierot - zwane bieżprizornymi. Tak powstały setki, jeśli nie tysiące zakładów opiekuńczych o wyraźnym programie resocjalizacyjnym. Literackim śladem jest dzieło „Poemat pedagogiczny” Makarenki. Czas drugiej wojny zaowocował państwowymi zakładami opiekuńczymi, domami dziecka.

Na Pomorzu mogę wspomnieć o domu dziecka w Słupsku, założonym i prowadzonym kilka lat przez Henryka Mąkę. Tu odbywałem pod jego opieką uniwersytecką praktykę oraz o pierwszym domu dziecka w Malborku, założonym przez moją matkę, Bernardę Stankiewicz, po kilku latach - nauczycielkę w Słupsku. Kiedy w książkach autobiograficznych Jana Maziejuka i jego brata, czytam wspomnienia o jego dzieciństwie w domu dziecka, to nie tylko wiem, o co tam szło, ale też pamięć jego losu podzielam. Chociaż była między nami duża różnica. Kiedy Janek Maziejuk był wychowankiem domu dziecka, ja byłem nauczycielem po studiach uniwersyteckich, i - wtedy już - publicystą oświatowym. Jako urzędnik wojewódzki od pedagogiki, zajmowałem się też domami dziecka, te w jakich wychowywał się Maziejuk były już inną instytucją, chociaż idea wychowawcza tworzenia człowieka epoki socjalizmu nadal przyświecała ich istnieniu. Pierwszy kierownik i założyciel słupskiego domu, p. Henryk Mąka, był już kuratorem oświaty i wychowania. Moja matka od dawna leży

z sowieckiej wojennej niewoli, Niemiec zwierzał się mnie, młokosowi z dramatycznego losu, jaki go spotkał. Nie miał dokąd i do kogo wracać. Cały życiowy dorobek, całe dotychczasowe życie zdruzgotała mu wojna, w której nie wziął udziału dobrowolnie. Gdy opowiadałem mu, że moje życie człowieka, jeszcze wtedy dopiero u początku, legło już w gruzach, powiedział: „życie nie powie ci, abyś się nad sobą poużalał, ono stanie obok i poczeka”.

Kilka lat później oficer bezpieczeństwa, decydując, jakie studia podejmę, powiedział: „pamiętaj, niezbadane są wyroki uboskie (popr.: ubowskie, gra słów)”. Kilka słów wyjaśnienia: ówczesna policja polityczna - wszechwładna, wszechmocna i wszechobecna. Gdyby nie jej złowrogie oblicze, można by porównać ją do starogreckiej moiry. Miała oficjalną nazwę Urząd Bezpieczeństwa Publicznego, popularnie zwany „ube” - stąd „uboskie”.

Czas i przypadek rządzą losem człowieka. Urodziłem się w czasie i miejscu ści-



Fot. J. Maziejuk

zanotowane przed laty: „życie człowieka idzie drogą wytyczoną. Gdy się drogowskazy pomylą, życie mu się pop...” Chyba jest to myśl księdza profesora Józefa Tischnera.

A oto myśl podobna, jakby uzupełniająca wyżej przytoczoną, też pokazuje, że los człowieka może sprawiać, że droga nie wskazuje celu, jaki sobie człowiek wyznaczył, a drogowskazy mogą prowadzić w złą stronę. Dopiero wątpliwości każą zastanowić się, jak pokierować losem. Jeżeli się go weźmie w swoje ręce.

Nie znam się na etnografii, niewiele w życiu stykałem się z „prawdziwymi” chłopami, choć znaczna część moich krewnych to chłopci. Sam jestem

mieszczaninem w trzecim pokoleniu. Mam niejasne pojęcie, że dziś już chłopstwa nie ma. Oględniej mówiąc, zanika. Tak dziś Jana Maziejuka po latach jego miastowej pracy ja widzę jako mieszczaucha. Dwieście pięćdziesiąt stron jego książki świadczy o jego chłopkości. Ale te strony pokazują jak ten chłopski syn wrastał w środowisko miejskie. Na kartach książki nie wstydzi się swojej chłopskiej matki, chłopskiego ojca, podobnie jak jego starszy brat, chłopskiego środowiska, z którego wyrastał. Szczyci się swoją chłopością. Jan Maziejuk, wrośli w miasto, członek

współczesnej kultury, u końca miejskiej kariery zawodowej - oby żył wiecznie! - nadal jest chłopem z podlaskiej wsi. Niewiele już takich się ostało.

Zdzisław Stankiewicz, Słupsk

Jan Maziejuk: „Krekodaj (słupski)”, Starostwo Powiatowe w Słupsku, Słupsk 2014.



Fot. Archiwum J. Maziejuka

na słupskim cmentarzu, ja zęgnąłem się z zawodem pedagoga.

Łączy nas podobna myśl - myśl o losie. Jestem zdania, że życiem naszym kieruje ślepy los. Wobec niego jesteśmy bezsilni, bezwolni i bezradni.

Najbardziej utkwiły mi w pamięci dwa wydarzenia. W roku 1945, wracający

śle określonym. Kto inny urodził się w innym miejscu i innym czasie, też ściśle oznaczonym - ale każdy z nas, ja i reszta, gdzie indziej i kiedy indziej. Przypadek zrządził, że wtedy i tu. A los przypomniał o swoim istnieniu. Pamiętać o tym, to zachować pokorę wobec niego. Niepokorna postawa prowadzi do życiowej klęski. Zdanie

Mam dar patrzenia n



Fot. Archiwum Autora

W każdym artyście drzemie niewykorzystany potencjał talentu. Jednak, jak twierdzą filozofowie, talent nie poparty pracowitością może się nigdy nie ujawnić. Można tylko mieć, że kiedyś się rozwinie, dojrzeje jak owoc tajemniczy, aby go zerwać z ogrodu piękna - z Edenu

W malowaniu obrazów, czas podjęcia zmagania z materiałem jest bardzo ważny. Zawsze niepokoi pytanie, czy wystarczy życia, aby dokonać czegoś wielkiego, artystycznie nieprzemijającego? Fenomenem jest ten, kto od razu dysponuje sytuacją życiową i zdolnościami do podjęcia wyzwań artystycznych, a życie tylko weryfikuje jego drogę do uzyskania pełni rozkwitu. Kierunek innego dojścia do efektów artystycznych - to droga pracowitości, prób i błędów w poszukiwaniu swojego stylu i miejsca wśród malarzy. Też może być szczęśliwa, ale wymaga długiego czasu.

Mieczysław Bednarski ze Słupska jest artystą do końca jeszcze niespełnionym. Obrazy jego są kolorystyczne - pejzaże, portrety, martwe natury namalowane czystymi barwami, przejrzyste, klarowne, tworzą wspaniałą kompozycję. Jest samoukiem, nigdzie nie pobierał lekcji rysowania czy malowania, nie licząc szkoły podstawowej i uczestnictwa w zajęciach kółka plastycznego. Rodzice wspierali jego artystyczne zainteresowania. Teraz wspomina z rozrzewnieniem te czasy, ale do swojego talentu ma dystans i mówi: „To lekka przesada z tymi zdolnościami, chociaż wiedziałem już od dziecka, że kiedyś będę malował. Bo prawdopodobnie urodziłem się z pewną wrażliwością artystyczną i miałem dar patrzenia na świat.”

Pierwsze obrazy M. Bednarskiego są datowane na rok 1970, kiedy miał czternaście lat. Sam poszukiwał informacji na temat technik malarskich, materiałów, farb. Sam docinał ramki, napinał płótno, szykował grunty, ucierał farby. Malował okazjonalnie i tylko w wolnym czasie, a gotowe obrazy dostawały osoby, które upodobały sobie jego twórczość, lub były to prezenty imieninowe i urodzinowe.

Nie ukończył liceum plastycznego tylko Technikum Budowlane w Koszalinie. Wyróżniał się w rysunku technicznym, w geometrii wykreślnej, w szkicach sytuacyjnych i kubaturowych. W projektach elewacji i elementach dekoracyjnych. Nie zapominał o malowaniu. Gdy odbywał służbę wojskową w WOP w Warszawie jego talent został wykorzystany dla potrzeb jednostki. Po powrocie do Słupska pracował w lokalnych firmach budowlanych, m.in. w Fabryce

na świat

Domów we Włynkówku przy wykonywaniu prefabrykacji budowlanej. Ale nastał stan wojenny i w życiu młodego malarza wiele się zmieniło. W 1982 roku zwolniono go z pracy. W tym właśnie roku namalował ostatni obraz, a niedokończone płótna i farby umieścił na strychu. Założył rodzinę, został ojcem syna Mateusza i podjął się



wykonywania różnych prac dorywczych. Był taksówkarzem, by w końcu rozpocząć życie tułacza i wyjechać do pracy za granicę. Najważniejsze było mieć pracę. Wkrótce podjął jednak nowe decyzje życiowe. Poznał Krystynę, która została jego żoną i z tego związku ma córki - Hannę i Marzenę - dzisiaj studentki. Codzienna krzątania wypełniała życie, ale obok ciągle była myśl, że trzeba malować. Przez lata nosił w sobie wirtualne obrazy, odczuwał piękno otaczającego świata, ale nie było czasu na malowanie. Od paru lat jest znów bez pracy i to ostatecznie zmotywowało go do twórczości.

Jestem w pracowni artysty, w Słupsku przy ulicy Pomorskiej. Przestrzenne pomieszczenie powstało z adaptacji strychu, jest pełne akcesoriów malarskich. Czuć zapach świeżych farb, terpentyny. M. Bednarski prezentuje mi swoje obrazy. Widać, że ulubioną jego techniką jest malarstwo olejne, ale oglądam też wykonane pastele, akwarele i rysunki. Są to pomorskie pejzaże i portrety. Wybór i podejście do tematu jest u niego intuicyjne. Najczęściej jako inspirację wykorzystuje własne zdjęcia lub pozyskane z Internetu, a podstawą sukcesu jest „przetrawienie” takiego zdjęcia, co trwa czasem kilka dni. Siadając do płótna ma już gotową koncepcję. Wykonuje szczegółowy szkic przyszłego obrazu i wtedy nakłada fakturę i kolor, najczęściej już bez poprawek. Obraz powstaje w ciągu tygodnia, ponieważ - jak twierdzi - w dłuższym czasie jego wizja ulega zatarciu.

Oglądając malarstwo Mieczysława Bednarskiego można stwierdzić, że nie jest ono jednorodne. Czasem przypomina najsłynniejszego fowistę Henri Matisse. Jest zbliżone do twórczości kolorystów. Sam o sobie mówi: „Maluję, tak mniej więcej dopiero od trzech lat. A moje nowe ambicje to malarstwo portretowe i ten kierunek jest teraz dla mnie najważniejszy. Na temat ewolucji i wektorów mojej twórczości jest jeszcze za wcześnie mówić, niech się w przyszłości wypowiedzą krytycy. Jestem zainteresowany, by stworzyć na podbudowie największych mistrzów w tej dziedzinie własny styl, oparty na mojej wrażliwości artystycznej i przez jej pryzmat cały czas patrzę, to ona determinuje działania w moim całym życiu i twórczości. Codzienne pejzaże, portrety wypełniają mój czas, rozkładam malowany obraz na plamy, kolory, plan pierwszy i drugi. Teraz, kiedy maluję już portrety, przyglądam się ludziom na ulicy pod kątem ich malowania. Czasem ta uliczna obserwacja zaskakuje przechodniów, zwłaszcza paniom nie zawsze się podoba. Mam już takie skrzywienie, ciągle ta maniera mnie prześladowa i to pewnie mi już zostanie.”

Mieczysław Bednarski czerpie też wzorce z oglądanych wystaw. Sporo czyta o malarstwie i malarzach. Zgromadził duży księgozbiór tematyczny z historii malarstwa, bywa też na wszystkich lokalnych wystawach. Podoba mu się malarstwo wielu malarzy rosyjskich - dawnych i współczesnych. Ostatnio natknął się na Petera Wilemana - współczesnego malarza z Anglii, jego obrazy „Fioletowy horyzont” i „Czerwony horyzont” są dla niego fascynujące. Z teki wielkich mistrzów również inny Anglik - William Turner, romantyk, malarz czterech żywiołów, jest jego zdaniem godny naśladowania.

Dyskutowaliśmy trochę o malarstwie romantycznym i dekoracyjnym. Zapytałem o ostatnie lata, jak przedstawia się jego dorobek twórczy? Oceniał je jako intensywne. Stwierdził: „Dorobek mój może jeszcze nieduży, ale staram się każdy wolny czas poświęcić na pracę twórczą. Zapisalem się do klubów malarskich w Słupsku

i Wejherowie. Kilka moich prac nabyli indywidualni klienci, moje obrazy pojechały do Norwegii, Anglii, a ostatnio do Holandii. Brałem udział w trzech plenerach. Poznałem wielu wspaniałych malarzy, ludzi o podobnej wrażliwości, o bliskimi do moich poglądach sztukę.”

Na jednej z wystaw poplenerowych obejrzałem dwa jego obrazy: pejzaż nad rzeczną i pejzaż pól i łąk z historyczną kobietą zjawą. Natomiast po raz pierwszy spotkałem się z Mieczysławem na jego wystawie indywidualnej w maju br. w słupskiej piwnicy zamkowej Anna de Croy. Byłem zaskoczony jego podobieństwem do malarza Jacka Malczewskiego - polskiego symbolisty. Mieczysław jednak jest wyższy, ale twarz ma podobną do Malczewskiego. Zachwycam się jego malarstwem. Ujął mnie wyborem tematów, uprawianą techniką i kolorem jego obrazów. Imponująco przedstawiały się na niej jego prace.

Na zakończenie spotkania artysta postawił przede mną jeszcze jeden problem: „Po co to robię? - zapytał sam siebie, - To! - odpowiedział na takie pytanie sformułowaniem słynnej definicji sztuki: „Wywołać w sobie uczucie raz doznane i wywoławszy je w sobie, za pomocą ruchów, linii, fal, dźwięków, obrazów oddać to uczucie tak, iżby inni go doznawali - na tym polega działanie sztuki.”

Cenni sobie też wypowiedź Henri Matisse’a: „Ekspresja nie tkwi w dramatycznym wyrazie twarzy czy ruchu. Widzę ją w układzie mego obrazu: i w rozmieszczeniu ciała, w otaczającej je przestrzeni i w por-



Fot. Archiwum Autora

porcjach, wszystko to składa się na ekspresję. Kompozycja - to umiejętność ułożenia w sposób dekoracyjny tych różnych elementów, którymi malarz dysponuje dla wyrażenia uczuć. Każda część obrazu jest równie widoczna, toteż każda musi odegrać wyznaczoną rolę, pierwszo - czy drugorzędną. Tym samym, cokolwiek nie jest dla obrazu bezwzględnie potrzebne, staje się dlań szkodliwe. Dzieło sztuki polega na harmonii całości: jeśli więc jakiś szczegół byłby zbędny, to absorbowałby tylko umysł widza, i to kosztem innego szczegółu istotnego.”

Włodzimierz Lipczyński, Słupsk

Tworzył obrazy pełne symbolicznych znaczeń

„Wyspiański ograniczał pojęcie polskości do jednego miejsca. Często prowadził mnie na Wawel i mówił: « Tu jest Polska », tymczasem ja mu zawsze tłumaczyłem, że Polska to te pola, miedze, wierzby przydrożne, nastrój tej wsi o zachodzie słońca”

Symbolizm kształtuje się w sztuce przy końcu XIX i na początku XX wieku. W malarstwie formuła symbolizmu miała szczególne miejsce, oznaczała pewien rodzaj intymnego i niezbywalnego związku z wyobraźnią twórczą. Wyobrażenia artysty ma bowiem wyjątkowe znaczenie, jest podstawą twórczych zamierzeń dalekich od ustalonych reguł, bez okazywania szacunku dla istniejących wzorców. Jest fundamentem artystycznej kreacji. Symbolizm rozwijał się również w literaturze, muzyce i przejawiał jako naturalny wyraz kształtowania kierunku intelektualnego. Artyści - poeci, muzycy, malarze od dawna stosowali formułę symboli do przedstawiania ukrytych treści. Szczególne miejsce symbolizm zajmował w malarstwie, grafice i rzeźbie. Były to rozmaite inspiracje odmienne od aktualnych tendencji. W sztukach plastycznych był wizualnym wyrazem poszukiwań artystycznych. Znaki i symbole były wykorzystywane do przekazu ukrytych treści. Estetyka symbolistyczna przybierała formy najbardziej nieoczekiwane.

Jacek Malczewski - ojciec polskiego symbolizmu obchodzi w tym roku 160. rocznicę urodzin i 85. rocznicę śmierci. Dobroć artystyczny malarza i wspomniane daty rocznicowe stanowiły okazję do zorganizowania w jego rodzinnym mieście - Radomiu wystawy tematycznej w muzeum jego imienia. Pojechałem do tego miasta i chodziłem śladami artysty. Okazją była niebywała. Obrazy Malczewskiego są rozproszone po całym świecie i na tę okoliczność wystawę zostały wypożyczone jako depozyty z prywatnych kolekcji. Wartość dzieł artysty co roku na aukcjach zwykłej. Przykład: 4 grudnia 2013 roku wystawiony na sprzedaż obraz „Polski Hektor” z 1913 roku osiągnął zawrotną cenę i został sprzedany za 2,99 mln złotych. Jest to najwyższa cena jaką udało się uzyskać w Polsce za obraz polskiego artysty.

Jacek Malczewski urodził się 14 lipca 1854 roku w Radomiu, w starej, ale



pozbawionej majątków ziemskich rodzinie szlacheckiej i tutaj pobierał pierwsze nauki. W roku 1867 rodzice wysłali go do majątku wuja Feliksa Karczewskiego w Wielgim, gdzie jego opiekunem i nauczycielem był Adolf Dygasiński. Cztery lata później 17-letni Malczewski przeprowadził się do Krakowa, gdzie kontynuował naukę w gimnazjum, będąc równocześnie wolnym słuchaczem Szkoły Sztuk Pięknych. Na prośbę Jana Matejki opuścił gimnazjum i studiował tylko w Szkole Sztuk Pięknych. W październiku 1875 wyjechał na dalsze studia do Paryża. Do pracowni Matejki powrócił jesienią 1877 roku. W 1880 zwiedził Włochy, odwiedził Lwów, a potem Podole. W 1884 trafił do pałacu Karola Lanckorońskiego w Rozdole i wziął udział w zorganizowanej przez niego wyprawie archeologicznej do Azji Mniejszej. Z Karolem Lanckorońskim połączyła Malczewskiego wieloletnia przyjaźń.

Biografowie artysty doszukują się szczególnej roli jego ojca Juliana w kształtowaniu u syna idei patriotycznych oraz miłości do romantycznej poezji Słowackiego. Wpływ ojca na edukację syna był wyjątkowy. Mimo że nie w pełni akceptował jego karierę artystyczną, to jednak w przypadku Jacka dostrzegał bożą wolę, z którą się należy zgadzać.

Na podstawie ciekawego fragmentu listu ojca do dorastającego już Jacka można dostrzec wyjątkowe intencje: „Wierzę, że Bóg wskazuje Ci obraną drogę życia. Jemu Cię więc polecam, do Niego się modlę ze łzami, by Ci pobłogosławił, by rozwijał Twe zdolności, by Cię umocnił na pracę i przeciwności i kierował Twym życiem”.

Troska ojca o syna jest związana z ciągłym i nieustannym wytyczaniem mu jak najlepszych kierunków rozwoju oraz zapewnieniem starannego wykształcenia u najlepszych mistrzów. W tym czasie Jacek

Malczewski pobiera nauki u samego mistrza Jana Matejki. Było to zgodne z wolą ojca, natomiast indywidualność i osobiste aspiracje Jacka powodowały spory na tle artystycznym i w następstwie odejście ze szkoły mistrza.

W 1884 roku, po śmierci ojca, w malarstwie Malczewskiego pojawił się powracający jej motyw. W 1885 wyjechał do Monachium, a w 1887 ożenił się z córką krakowskiego aptekarza - Marią Gralewską. Z tego związku na świat przyszły dzieci: córka Julia i syn Rafał, później także malarz.

W latach 1894 - 1897 następuje ewolucja w twórczości Jacka Malczewskiego. Porzuca realizm na rzecz symbolicznych wątków treściowych i zaczyna tworzyć obrazy pełne symbolistycznych znaczeń. Był już artystą znanym, cenionym i nagradzanym. W 1897 roku został jednym z założycieli Towarzystwa Artystów Polskich „Sztuka” (obok Teodora Axentowicza, Józefa Mehoffera, Stanisława Wyspiańskiego). Poza uczelnią pozostawał dziesięć lat organizując w tym czasie wiele wystaw swoich prac (m.in. we Lwowie w 1903 roku) i podróżując po Europie.

Gdy w 1910 roku rektorem Akademii Sztuk Pięknych został Teodor Axentowicz, Malczewski powrócił na stanowisko profesora, aby w 1912 roku zostać jej rektorem. Funkcję tę pełnił do wybuchu I wojny światowej. Początek wojny spędził w Wiedniu. Do Krakowa powrócił w 1916 roku. W tym też czasie zaczął sobie zdawać sprawę, że jego malarskie wizje należą do przeszłości. Rozpoczął obrachunek z własnym życiem. Powstał wówczas wzruszający cykl obrazów „Moje życie”, coraz częściej malował autoportrety. W 1921 ustąpił z funkcji profesora ASP. W 1921 został też odznaczony Orderem Polonia Restituta IV klasy. Jubileusz 70-lecia życia i 50-lecia pracy twórczej obchodząc organizując wystawy swoich obrazów w Krakowie, Lwowie, Warszawie i Poznaniu. W latach 1923 - 1926 mieszkał w XIX-wiecznym dworze w Lusławicach, gdzie założył szkołę malarską dla utalentowanych dzieci wiejskich. W 1923 namalował tryptyk „Mój pogrzeb”. W 1927 otrzymał nagrodę artystyczną miasta Warszawy, a w 1929 uhonorowany został Wielkim Złotym Medalem na Wystawie Krajowej w Poznaniu. Pod koniec życia stracił wzrok. Zmarł 8 października 1929 roku w Krakowie i jest pochowany w Krypcie Zasłużonych na Skałce, zgodnie z ostatnim życzeniem - we franciszkańskim habicie tercjariskim.

Analizując dorobek artystyczny Jacka Malczewskiego można postawić tezę, że jest on twórcą polskiego symbolizmu. Początki jego twórczości wywodziły się zarówno z poezji romantycznej, jak też z inspiracji historią. Jednak w kolejnym etapie twórczym artysta się od tego odcina i temu przeciwstawia. Malczewski zrywa z

teatralną umownością i widowiskowością na swoich obrazach. Od patosu malarstwa Matejki bliższy staje mu się martyrologiczny etos Grottgera. Twórczość z tego okresu to przedstawienie tragicznych losów zesłańców, uczestników powstania styczniowego. Obrazy „Niedziela w kopalni” (1882), „Na etapie” (1883), „Śmierć na etapie” (1891), „Wigilia na Syberii” (1892) nawiązują do tematyki grottgerowskiej z dużą dozą naturalizmu. Motywy te czerpał także z twórczości Juliusza Słowackiego („Śmierć Ellenai” (1883), „Umywanie nóg” (1887)). Potem jednak następuje zwrot w kierunku literacko-allegorycznego symbolizmu. W wyniku tych zmian powstają m.in. obrazy „Melancholia” (1894), „Polonia” (1897), „Błędne koło” (1895 - 1897). Rozpoczyna się najważniejszy i najbardziej oryginalny okres w twórczości artysty - symbolizm. W malarstwie Malczewskiego jest on inspirowany wątkami literackimi. Artysta korzysta z metafor i alegorii, wprowadzając fantastyczne postaci i twory: fauny, harpie, chimery, centaury, rusalki, anioły itp. To rodzimy folklor pomieszany z mitologią grecką, wątkami biblijnymi, ewangelicznymi i franciszkańskimi, z powstańcami i zesłańcami. Nieraz tematyka obrazów jest łączona w cykle lub tryptyki. To wielka symbolika, której patronują Eros i Thanatos. Obrazy z tego okresu utrzymane są w jasnych, żywych, często dysonansowo zestawianych kolorach. Nasycone są powietrzem.

Wystawa rocznicowa dzieł Jacka Malczewskiego przybliży dorobek artysty. W klasycystycznym gmachu muzeum są również eksponowane pamiątki osobiste po malarzu. Jest też prezentowana szczegółowo opracowana jego biografia. Zasadniczą część ekspozycji malarstwa stanowi piętnaście prac z kolekcji prywatnej, powstałych w ostatniej ćwierci XIX i w pierwszej dekadzie XX w., dotychczas nie pokazywanych w radomskiej instytucji. Miłośnicy twórczości artysty mieli okazję (czasem po raz pierwszy) zobaczyć na wystawie zarówno autoportrety mistrza polskiego symbolizmu, jak również charakterystyczne dla sceny alegoryczno-symbolicznej, odnoszące się do historii Polski i tematyki biblijnej.

Malczewski, którego wizerunki własne stanowiły istotną część twórczości, sportretował siebie m.in. w towarzystwie muzy (Marii Balowej) - „Autoportret z muzą” (1906 r.) czy jawnogrzecznic, widocznej zza postaci Chrystusa o rysach samego artysty - „Chrystus i jawnogrzecznic” (1910 r.). Wśród prac z kolekcji prywatnej można również wyróżnić kompozycję symboliczną „Artysta i muza” (1898) traktującą o powinnościach artysty wobec narodu i ojczyzny, wczesny, powstały w Paryżu „Akt” z 1876 roku, czy niedokończony, ale mistrzowski szkic portretowy żony Marii.

Warto również przyrzeć się dwóm niewielkim portretom kobiet: wspomnianej

Marii Balowej, oraz młodzieńczej Wandy Karczewskiej (depozyt prywatny), które odegrały znaczące role w życiu Jacka Malczewskiego. Karczewska była pierwszą, młodzieńczą miłością artysty, natomiast Maria Balowa przez wiele lat była uwielbianą muzą inspirującą znakomite prace powstałe w pierwszych latach XX wieku. Nieprzeciętnymi walorami malarskimi odznaczają się jego portrety. We wczesnej fazie twórczości artysta malował portrety realistyczne (portret matki ok. 1880 i narzeczonej z 1887), później natomiast symbolistyczne. Portrety i autoportrety przedstawiają osobę portretowaną w różnych pozach, często w niecodziennych kostiumach, niejednokrotnie z postaciami alegorycznymi i na tle pejzażu pozostającego w ścisłej z nią relacji znaczeniowej. Zwracają uwagę doskonałym ujęciem osób portretowanych - Jana Kasprowicza (1903), Stanisława Witkiewicza (ojca Witkacego, ok. 1897), oraz autoportrety: z paletą (1892), w zbroi (1919).

Ciekawostką wystawy jest praca zakupiona w ostatnim czasie przez muzeum - fotografiiura wykonana w 1894 roku przez warsztat Anatola Klintza w Chicago, która powstała w oparciu o obraz „Śmierć wygnanki”, namalowany przez Jacka Malczewskiego w 1882 roku w Radomiu (jeden z żałobników ma rysy ojca artysty - Juliana). Oryginalne płótno znajduje się w zbiorach Uniwersytetu Notre - Dame w Indianie (USA).

W drugiej części wystawy prezentowane są rysunki i akwarele pochodzące ze zbiorów własnych radomskiego muzeum. Zdecydowana większość tych prac pochodzi z wczesnego okresu twórczości (od lat 70. XIX w.) i ukazuje tematykę (sceny rodzinne, portrety, liczne kompozycje zatytułowane Thanatos) absorbującą artystę w ostatnim dwudziestolecu XIX wieku. Uzupełnieniem ekspozycji są archiwalia, do których należą m.in. zdjęcia samego Jacka, bądź też jego najbliższych - żony, dzieci, siostr, a także dyplomy, urzędowe pisma, listy, telegramy gratulacyjne skierowane do artysty, czy katalogi z poprzednich wystaw. Znamienna jest cytowana wypowiedź Jacka Malczewskiego dotycząca młodszego od niego o lat kilkanaście, wychowanego pod murami Wawelu Stanisława Wyspiańskiego: „Wyspiański ograniczał pojęcie polskości do jednego miejsca. Często prowadził mnie na Wawel i mówił: « Tu jest Polska », tymczasem ja mu zawsze tłumaczyłem, że Polska to te pola, miedze, wierzby przydrożne, nastrój tej wsi o zachodzie słońca, ta chwila tak jak teraz - to wszystko jest bardziej polskie niż Wawel, to jest to, co artysta - Polak kocha i powinien przede wszystkim starać się wyrazić”.

Jacek Malczewski to wielki patriota należący do najwybitniejszych polskich malarzy przełomu XIX i XX wieku. Jest jednym z głównych przedstawicieli narodowego symbolizmu.

Włodzimierz Lipczyński, Słupsk
w.lipczynski@interia.pl

- Panie profesorze, kiedy zaczęła się pana fascynacja twórczością i postacią Witkacego. Czy był to przypadek?

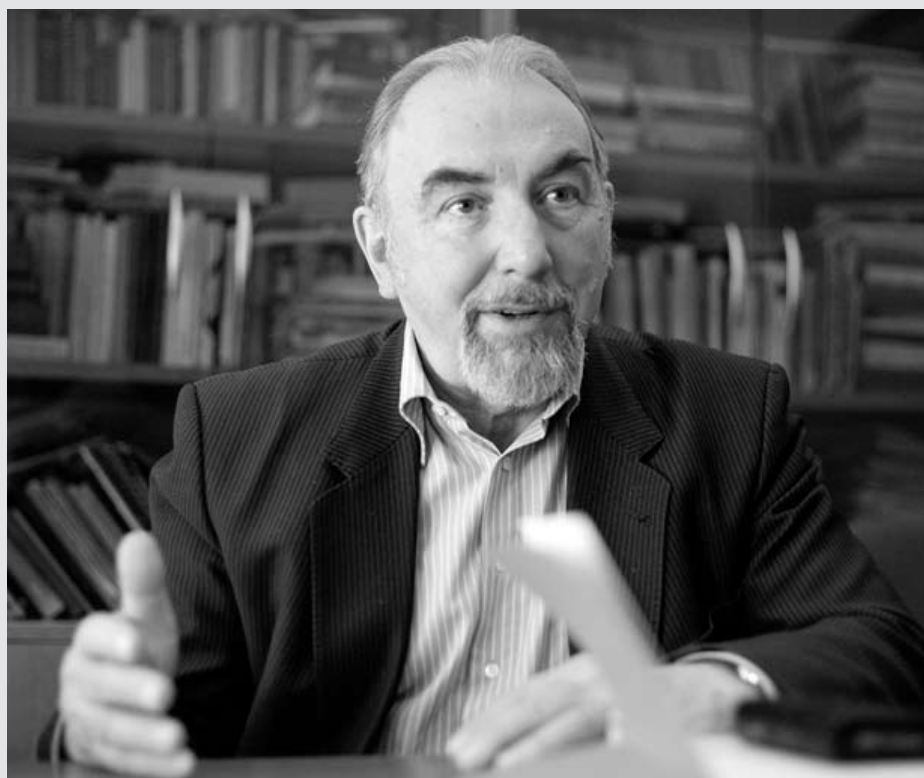
- Było to dawno, nawet bardzo dawno. Latem 1957 roku, po zaliczeniu pierwszego roku wrocławskiej polonistyki, wyjechałem na wakacje z plecakiem pełnym książek. W ostatniej chwili zapakowałem do niego powieść „Nienasycenie”, wydaną właśnie w dwóch tomach przez Państwowy Instytut Wydawniczy. O autorze wiedziałem niewiele. W podręczniku „Historii literatury polskiej” dla XI klasy o jego twórczości była tylko wzmianka jako typowym płodzie nihilistycznych tendencji epoki schyłku imperializmu. Zaintrygowała mnie ta ocena i postanowiłem poznać w lekturze smak tego nihilizmu. Okazało się jednak, że w żadnej z publicznych bibliotek nie ma jego książek. Od 1949 roku znajdował się na indeksie, nie wolno było go publikować i wystawiać, a także cytować. Co prawda, po Październiku cenzura zelżała i mogło ukazać się „Nienasycenie”, ale niebawem na jej polecenie odwołano prapremierę „Szewców” w Teatrze „Wybrzeże” i do roku 1970 będzie obowiązywał zakaz grania tej sztuki na scenach zawodowych.

Lektura „Nienasycenia” była wyjątkowym doświadczeniem, które można określić jednym słowem: szok. Witkacy doszczętnie zrujnował moje szkolne wyobrażenie o literaturze, które ukształtowali pozytywiści, Żeromski, autorzy socrealistycznych utworów w rodzaju „Nr 16 produkuje” i „Na przykład Plewa” oraz radzieckich powieści „Jak hartowała się stal” i „Opowieść o prawdziwym człowieku”, należących wtedy do obowiązkowych lektur szkolnych. Powieść Witkacego była zaprzeczeniem wszelkich kanonów realistycznej prozy: długie, niemal barokowo zawile okresy zdaniowe, język pełen metafor i neologizmów, wnikliwe analizy psychologiczne, odważne sceny erotyczne i groteskowy obraz świata z niezwykle sugestywną wizją najazdu Chińczyków na Europę.

Po powrocie z wakacji przeczytałem we wrocławskim tygodniku „Nowe Sygnały” fragment młodzieńczej powieści Witkiewicza „622 upadki Bunga, czyli Demoniczna kobieta”, którą z rękopisu opublikował Stanisław Pietraszko, wykładowca literatury współczesnej na naszej polonistyce. Po jednym z wykładów zapytałem go, czy może wystawić mi rekomendację, dzięki której udostępni mi rękopis powieści w bibliotece Ossolineum. Zrobił to od ręki i już następnego dnia w czytelni rękopisów mogłem z pewną tremą otworzyć wielki foliał i zagłębić się w lekturze. Okazało się, że znajdują się tu również inne rękopisy Witkacego, m.in. dziewięciu dramatów oraz ostatniej powieści „Jedynie wyjście”, które w latach pięćdziesiątych biblioteka zakupiła od Jadwigi Witkiewiczowej. Przeczytałem wszystko i zafascynowany postanowiłem napisać

Witkacy zrujnował moje szkolne wyobrażenie o literaturze

Z profesorem Januszem Deglerem z Uniwersytetu Wrocławskiego, opiekunem naukowym organizowanej co pięć lat w Słupsku międzynarodowej sesji naukowej poświęconej Witkacemu - rozmawia Włodzimierz Lipczyński



Fot. Archiwum Autora

o twórczości Witkacego pracę magisterską. Niestety, żaden z profesorów nie zajmował się wtedy literaturą XX wieku i u profesora Bogdana Zakrzewskiego pisałem o dramacie i teatrze romantycznym. Miało to dobre

konsekwencje, bo teatr stał się moją drugą pasją i poświęciłem mu wiele tekstów, a w latach 1975 - 1978 wydałem trzytomowe „Wprowadzenie do nauki o teatrze”, które do dziś służy studentom jako podręcznik.

Przełomowym wydarzeniem w recepcji Witkacego było wydanie w 1962 roku przez Konstantego Puzynę dwóch tomów „Dramatów”, zawierających 22 utwory. Wiadomo, że napisał on prawdopodobnie 42 dramaty, z których tylko siedem ukazało się drukiem za jego życia. Prawie połowa zaginęła w czasie wojny. Była wśród nich „Persy Zwierżontkowska”, którą w maju 1927 roku wystawił Teatr Miejski w Łodzi. Puzyna daremnie jej poszukiwał i w „Przekroju” zamieścił apel o pomoc w jej odnalezieniu. Jeździłem wtedy często do Łodzi, gdzie mieszkała moja narzeczona, i postanowiłem sprawdzić, czy w tamtejszych archiwach nie zachował się egzemplarz teatralny. Owszem, znalazłem afisz, program, a nawet rachunki za kostiumy, ale tekstu sztuki nie było. Wiedziony ciekawością, co o premierze pisała prasa, przeczytałem wszystkie recenzje i na ich podstawie zrekonstruowałem akcję sztuki. Zasmakowałem w tej robocie i zdecydowałem się poświęcić rozprawę doktorską inscenizacjom sztuk Witkacego w dwudziestolecie międzywojennym. Ukazała się drukiem w 1973 roku. Wertując dziesiątki roczników czasopism przedwojennych w poszukiwaniu recenzji, natrafiłem raz po raz na nieznane artykuły Witkacego, które skrupulatnie przepisywałem (nie było wtedy kserografu!) i w ten sposób powstał gruby tom pism krytycznych i publicystycznych, który pt. „Bez kompromisu” wydał w 1975 roku Państwowy Instytut Wydawniczy. Natomiast pisma o teatrze zebrałem w tomie „Czysta Forma w teatrze”, który ukazał się w znanej serii „Teorie współczesnego teatru” redagowanej przez Puzynę. W czerwcu 1989 roku powstał Komitet Redakcyjny „Dzieł zebranych” S. I. Witkiewicza, którego zostałem przewodniczącym. Jestem szczęśliwy, bo po 25 latach zbliżamy się do końca tej edycji. Wyszło dotąd 21 tomów, do wydania pozostały już tylko cztery.

- Właśnie niedawno w ramach „Dzieł zebranych” wyszedł czwarty, ostatni tom korespondencji Witkacego z żoną w pańskim opracowaniu. Jak to się stało, że ten wielki zbiór, liczący 1278 listów i kartek, znalazł się w Książnicy Pomorskiej w Szczecinie? Co wnosi on do wiedzy o Witkacym?

- Jadwiga Witkiewiczowa dwukrotnie ocalała tę korespondencję. Po raz pierwszy, gdy nie posłuchała męża, który ją prosił, wręcz błagał, aby niszczyła jego listy. Po raz drugi w maju 1944, ukrywając je w piwnicy w domu swojej znajomej na ulicy Grójeckiej 40, gdzie szczęśliwie przeżywały Powstanie Warszawskie. Jadwiga zmarła 28 grudnia 1968 roku w Warszawie i zgodnie z ostatnią wolą została pochowana na Cmentarzu Zasłużonych w Zakopanem. Część rzeczy osobistych, różne pamiątki, zbiór fotografii, kilka rękopisów i maszynopisów Witkacego oraz całą jego

korespondencję przekazała w testamentie Marii i Stefanowi Flukowskim, którzy byli jej przyjaciółmi i po wojnie troskliwie się nią opiekowali. Zastrzegła jednak, że listy mają trafić do Ossolineum lub Biblioteki Narodowej. Maria Flukowska postanowiła jednak oddać je wraz z archiwum Jadwigi do biblioteki w Szczecinie ze względu na związki jej zmarłego męża z tym miastem. W roku 1979 Stanisław Krzywicki, dyrektor biblioteki, udostępnił listy Annie Micińskiej, która je ręcznie przepisała. Kilkanaście z nich ogłosiła w prasie i przystąpiła do pracy nad całą korespondencją, którą miała przygotować do wydania w ramach „Dzieł zebranych”. Niestety, przedwczesna śmierć (21 marca 2001 r.) przerwała tę pracę. Mnie przypadło wykonanie tego zadania, bez wątpienia najtrudniejszego ze wszystkich, jakie dotąd miałem.

Micińska pracę nad listami Witkacego nazwała „piekłem edytora”. Czym jest to piekło, ile ma kręgów i jak je przeszedłem, trudząc się przez prawie dziesięć lat, opisałem w artykule „Piekło edytora”, czyli o listach Witkacego do żony”, który można przeczytać w kwartalniku „Przestrzenie Teorii” (2010, nr 14) lub na stronie www.witkacologia.eu. Zachęcam czytelników do lektury tego tekstu. Znajdą w nim odpowiedzi na pańskie pytania. Jedno jest oczywiste: cztery tomy „Listów do żony” to niezamierzone wielkie dzieło Witkacego, które można czytać na wiele sposobów, na przykład jako wielowątkową powieść epistolarną o charakterze autobiograficznym, obrazującą skomplikowane relacje obojga małżonków i dramatyczne dzieje ich związku. Ale jest to także intymny dziennik artysty, zawierający szczegółowy obraz jego życia od momentu poznania Jadwigi (pierwszy list ma datę 21 III 1923) do 24 sierpnia 1939 roku. To także wyjątkowy dokument psychologiczny, czy wręcz psychoanalityczny, ujawniający różne tajemnice psychiki autora, często bardzo intymne.

- Czy listy przybliżają również skomplikowaną osobowość Witkacego, zasady, którymi kierował się w życiu i w stosunkach z innymi, problemy twórczości?

- Podobnej korespondencji nie ma w naszej literaturze – równie szczerej, a niekiedy posuniętej do granic ekshibicjonizmu. Witkacy przekonany, że Jadwiga pali jego listy, nie miał przed nią właściwie żadnych tajemnic. Jak lekarzowi psychoanalitikowi zwierzał się z najintymniejszych przeżyć, raz po raz dokonując wiwisekcji swoich stanów psychicznych i bez skrępowania opisywał niemal każdą dolegliwość fizyczną, a także kłopoty i zmartwienia, jakich przysparzały mu związki z innymi kobietami. Żona odgrywała tu rolę zaufanego spowiednika, najbardziej wyrozumiałego przyjaciela, któremu bez obawy mógł wyznać najszybsze myśli, doznania i przeżycia. Uwikłany w różne problemy

codziennego życia, Witkacy ukazuje się nam bez masek, min i grymasów, które znamy z licznych fotografii, często zaś widzimy jak pogrążony w głębokim smutku lub autentycznie cierpiący, szuka pocieszenia lub pomocy u Jadwigi, która była dlań najmocniejszym i niezawodnym punktem oparcia. Inny jest to Witkacy od tego, który funkcjonuje w czarnej legendzie: Witkacego-dziwaka i ekscentryka, alkoholika i narkomana, „wariata z Krupówek”. Z listów wyłania się obraz człowieka niezwykle pracowitego, świetnie zorganizowanego, walczącego ze swoimi wadami, nałogami i słabościami, borykającego się nieustannie z biedą, który jako artysta starał się być zawsze „zapiętym na ostatni guzik”.

- Jak pan ocenia międzynarodowe sesje naukowe organizowane przez Muzeum Pomorza Środkowego w Słupsku? Czy Słupsk wykorzystuje w pełni fakt posiadania zbiorów - pamiątek, obrazów Witkacego do popularyzacji jego postaci i reklamy miasta?

- Chciałbym przede wszystkim podziękować panu dyrektorowi Mieczysławowi Jaroszewiczowi, który był pomysłodawcą organizowania co pięć lat w Słupsku międzynarodowych sesji poświęconych Witkacemu z okazji rocznicy jego śmierci. Godne największego uznania jest także to, że dorobek każdej sesji ukazuje się w tomie referatów. Wystarczy wziąć wydane dotąd cztery tomy, aby docenić wielką wartość każdego z nich. Trudno wyobrazić sobie badacza Witkiewicza, który by z nich nie korzystał. Otwarta formuła spotkań sprawia, że każdy znajdzie tu coś dla siebie, zarówno filozofowie, socjologowie, historycy i teoretycy sztuki, jak i literaturoznawcy, teatrologowie i filmoznawcy. Świadczy to o tym, że twórczość Witkacego ma charakter otwarty, łatwo poddaje się różnym interpretacjom, opalizuje znaczeniami i, co najważniejsze, nie daje się zamknąć w jednej formule, że ciągle zaskakuje nas swoją aktualnością. O tym zaś, jakim uznaniem cieszą się sesje słupskie może świadczyć rosnąca liczba uczestników. Ostatnia była rekordowa - wygłoszono 55 referatów i komunikatów, a przecież kilku chętnym musieliśmy odmówić, bo trzeba by przedłużyć obrady o kolejny dzień. Po zakończeniu sesji otrzymaliśmy z Beatą Zgodzińską mnóstwo pięknych podziękowań i propozycji, aby nie czekać pięć lat do następnej rocznicy i zorganizować sesję już w przyszłym roku. Widać, że dla witkacologów Słupsk stał się miejscem wyjątkowym, że chcą tu wracać, a możliwość obejrzenia całej wspaniałej kolekcji 265 obrazów i portretów Witkacego stanowi dla każdego niezwykle przeżycie. Sława tej kolekcji dawno przekroczyła granice kraju i dzięki niej Słupsk znany jest w świecie jako miasto Witkacego. A niektórzy sądzą, że się tu urodził...

- Dziękuję panu profesorowi za rozmowę.

Książka dodaje sił i zapału

Książka dodaje sił i zapału. Może rozśmieszyć lub zasmucić, a nawet pocieszyć i wskazać nowe możliwości



Fot. Archiwum Autora

Od najmłodszych lat wielu z nas czytało książki. Słuchaliśmy z uwagą bajki dziadka, babci, rodziców. Z wiekiem sami je polubiliśmy. Chociaż ze smutkiem trzeba odnotować, że duża część Polaków nie połączyła bakcyli czytania. Badania pokazują, że ponad połowa

z nas w ciągu roku nie ma książki w ręku. Temu jednak jakby zaprzeczają dane z największych w Polsce Międzynarodowe Targi Książki w Krakowie. Miałem przyjemność w nich uczestniczyć i zobaczyć tych, których do tej pory oglądałem na ekranie telewizora.

Na krakowską imprezę, zorganizowaną po raz pierwszy w Hali Expo, żeby się dostać trzeba było czekać w ponad trzystu metrowej kolejce. Organizatorzy poinformowali, że w ciągu czterech dni odwiedziło je 60 tysięcy osób. Wśród znanych autorów znalazł się prezenter telewizyjny Krzysztof Ziemięć, który nie tak dawno wrócił do zdrowia i cudem przeżył po bardzo ciężkim oparzeniu niemal całego ciała. Jego najnowsza książka pt. „Rozmowy z dystansu”, którą mi podpisał zawiera interesujące wywiady całej plejady znanych polskich postaci. Podczas błyskotliwie prowadzonych rozmów pojawiają się w niej tematy uniwersalne i ponadczasowe.

Nie zawiedli się ci, którzy mogli się spotkać z prof. Jerzym Bralczykiem i prof. Janem Miodkiem. W czasie gdy język upada jak obyczaj, refleksje o polszczyźnie tych, którzy zajmują się nią zawodowo, powinny działać ożywczo, a nawet ozdrowieńczo.

Któż z nas nie pamięta nieżyjącego już barda „Solidarności” Jacka Kaczmarskiego. Katarzyna Walentyńowicz podpisywała książkę pt. „Mimochodem. Rozmowy o Jacku Kaczmarskim”. Malując fenomen twórczości poety autorka przeprowadziła wywiady z różnymi osobami ważnymi dla niego w kolejnych etapach życia.

Nie byli rozczarowani ci, którzy spotkali i mogli rozmawiać z podróżującą po świecie „blondynką” Beatą Pawlikowską. Tym razem znalazła czas, by opowiadać i też podpisywać swoją książkę o właściwym żywieniu pt. „Moje zdrowe przepisy”.

Na pewno nie będą się nudzić ci, którzy sięgną po książkę pt. „Mroźek w odsłonach” wydaną przez Krakowskie Wydawnictwo Literackie. Zebrano w niej anegdoty, żarty, dowcipy trzydziestu dziewięciu osób, m.in. Macieja Englerta, Marty Lipińskiej, Jana Nowickiego, Wojciecha Przonika i Janusza Majewskiego, które znały dramaturga w różnych okresach jego życia - od dzieciństwa po ostatnie lata, gdy często był w szpitalach.

Inny tytuł cieszący się dużym zainteresowaniem to wywiad rzeka przeprowadzony przez Juliusza Ćwielucha ze znanym aktorem Krzysztofem Kowalewskim pt. „Taką zabawną historią”. Aktor ten to kultowy Sulek z radiowego słuchowiska pt. „Kocham pana, panie Sułku”, wreszcie to aktor teatralny, telewizyjny i filmowy, debiutował rolą Jana w „Krzyżakach” A. Forda. Wystąpił też w słynnym „Misiu” Stanisława Barei.

Wielu z nas marzy o zgrabnej, szczupłej sylwetce. Tym, którzy chcą ją osiągnąć i zrzucić trochę tłuszczu polecano na targach książkę znakomitego polskiego hoakeisty pt. „Zaplanuj trening z Mariuszem Czerkawskim”.

Wielką frajdą było dla mnie spotkanie z sędziwym już Adamem Macedońskim. Ten żołnierz niezłomny, wielki polski pisarz i malarz otrzymał niedawno tytuł Honorowego Obywatela Miasta Krakowa.

Urodzony we Lwowie, rocznik 1931, zaangażowany w działalność antykomunistyczną od lat 40-tych ubiegłego wieku głosił prawdę o zbrodni katyńskiej i brał udział w obronie krzyża w Nowej Hucie. Mimo represji i więzienia za komuny wciąż bardzo aktywny i dowcipny. Radości życia mógłby się nauczyć od niego niejeden nastolatek. Nie miałem ze sobą jego książki pt. „Pod czerwoną okupacją”. Poproszony o autograf złożył mi go na miejskim biuletynie dorysowując, jak na plastyka przystało, rozśmianą buźkę.

Corocznie na targi przybywa znany krakowski zakonnik o. Leon Knabit. Na stoisku wydawnictwa Bernardynów z Tyńca podpisywał swoją najnowszą książkę pt. „Ojca Leona słów kilka”. Znajduje się w niej

szeroki wachlarz tematów aktualnie ważnych dla każdego. Można poznać opinie na temat aborcji, zdrady małżeńskiej, pedofilii, czy odejścia z Kościoła. Niezwykle cenne rady i trafne spostrzeżenia tworzą specyficzny klimat, w którym wszyscy są traktowani poważnie i z szacunkiem.

Czytelników nie tylko starszych może zainteresować wydany przez Białego Kruka album znanego krakowskiego fotoreportera Waława Kłaga pt. „Blaski i nędze życia w PRL”. Zawiera ponad 300 znakomitych zdjęć opatrzonych obszernymi podpisami przypominającymi czasy Polski Ludowej.

Anna Jarmusiewicz rozmawiała ze znanym wielu Polakom politykiem, pisarzem i byłym ambasadorem Izraela w

Polsce - Szewachem Weisssem w książce pt. „Takie buty z cholewami”. Zawiera jego wspomnienia, a także komentarze do aktualnych wydarzeń. Jej przesłaniem jest zachęta do obalenia wielu stereotypów narodowościowych, politycznych i religijnych. Książka uczy szacunku dla innych. Choć trudna w odbiorze z pewnością znajdzie swoich czytelników.

Reasumując, krakowskie targi były wielką uczcą dla miłośników czytelnictwa. Świadczą o tym liczne tłumy odwiedzających. Podkreślić warto, że książka dodaje sił i zapału. Może rozbieszyć lub zasmucić, a nawet pocieszyć i wskazać nowe możliwości. Warto o tym pamiętać w długie jesienno-zimowe wieczory.

Kazimierz Jutrzenka, Słupsk

Bajkowa artystka

Potrafi stworzyć piękny obraz na skrawku papieru, fragmencie kartonowego pudła czy na papierowej podstawie

25 listopada br. ogłoszono wyniki Międzynarodowego Konkursu Literacko-Plastycznego pt. „Bajka i legenda świata w życie nam się wplata” - zorganizowanego przez Bardzo Prywatny Portal Ludzi Ciekawych egminy.eu. Wśród blisko 1500 prac z całego świata głosami

międzynarodowego jury w kategorii „Dorośli” zwyciężyła Bernarda Woźniak z Do-mu Pomocy Społecznej w Lubuczewie.

Swoje zwycięstwo zawdzięcza pracy plastycznej zatytułowanej „Słowik”, będącej ilustracją do baśni Andersena. Jest to jej kolejny sukces odniesiony w konkursach, chociaż pierwszy międzynarodowy. Malarka jest z wykształcenia i zamiłowania. Sztuce rysunku poświęca każdą wolną chwilę. Tworzy również poezję, a ostatnio realizuje się teatralnie, dołączyła bowiem do stałego grona aktorów grupy teatralnej „Epitetem po Metaforze”, która ma już też na swoim koncie zwycięstwa w przeglądach - wojewódzkim i międzynarodowym.



Pani Bernarda jest osobą niezwykle pogodną, zaraża innych swoim optymizmem i podejściem do życia, charakteryzującym się spontanicznością, kreatywnością i twórczością. Jest prawdziwą artystką, która tworzy swoje dzieła z potrzeby chwili, emocji, impresji i bodźców zewnętrznych. W ten sposób uczestniczy w arteterapii, pokonując swoje słabości i przezwyciężając obawy przed prezentacją dzieł



(wytworów własnej świadomości i podświadomości) na szerszym polu.

Jak sama mówi prawdziwa sztuka obro-ni się zawsze, lecz tak naprawdę prawdziwą sztuką jest zrobić coś z nicze-go.

Dlatego ona potrafi stworzyć piękny, metaforyczny obraz dosłownie na wszystkim - skrawku niepotrzebnego papieru, fragmencie kartonowego pudła czy na papierowej podstawie. Jest to cecha prawdziwej artystycznej duszy, emanującej iskrą tworzenia rzeczy wielkich, pięknych i alegorycznych zarazem. Prace laureatki międzynarodowego konkursu zawsze zawierają jakieś konotacje, ukryte znaczenia, koncepty i metafory. Cechuje je przy tym niezwykle dbałość o szczegóły.

Artystka tworzy dzieła wieloma technikami, nie ogranicza się tylko do jednej. Daje jej to szerokie spektrum możliwości i odzwierciedla ogromne pole zainteresowań. I na próżno jest szukać w jej pracach monotonii i jednoznaczności. Można spotkać za to dekonstrukcję tradycyjnego pojmowania ładu malarskiej wizji całości kompozycji, osadzonej na wielopłaszczyznowości i przenikaniu się struktur znaczeniowych.

**Krzysztof Surowiec
DPS w Lubuczewie**

została laureatką międzynarodowego konkursu

Spełnione marzenie lidera

*Jubileuszowa impreza trwała z górą sześć godzin(!)
i zakończyła się, wbrew przyjętym regułom, nie
o dwudziestej drugiej a kilkanaście minut po północy*

Fot. Archiwum prywatne RP



roku, nagroda w opolskim Koncercie Debiutów dla Grażyny Auguścik i Jacka Mazurkiewicza za piosenkę „Arlekin” Pawlaczka - mistrza wg Auguścik.

Wkrótce młodych słupszczyzan spotkała ogromna gratka: Polskie Stowarzyszenie Jazzowe wystąpiło z ofertą podjęcia tyleż atrakcyjnej co intratnej pracy zarobkowej na nowo uruchomionej linii żeglugowej Świnoujście-Kopenhaga „gwoli satysfakcji” pasażerów - kolejno - s/y Pomerania, Rogalin, Wilanów, Wawel, Silesia. Jak stwierdzili kiedyś, „zaprzyjaźniony z nimi od początku juror, dziennikarz - reporter i publicysta oraz pilot wycieczek PZB towarzyszył im bardzo często w wożach od Kopenhagi po Oslo, Helsinki, Karlskronę, Ystad, Visby (na Gotlandii) i Nyneshämn w pobliżu stolicy Szwecji, Felixtowe koło Londynu oraz mnóstwo większych i małych portów belgijskich i holenderskich”. Notabene: ww. produkcje artystyczne albo - jak kto woli - estradowe Pikusiów ich ziomek Sławomir Sosnowski, wspólnie ze stołecznym reżyserem i scenografem Waldemarem Krystkiem, spożytkował jako kanwę głośnego w swoim czasie (m.in. z emisji w TVP) filmu pt. „Ostatni prom”.

W 1985 wystąpiły pierwsze objawy zmęczenia bezstanną „wojażerką” po świecie. Wojtczak dołączył do żony i córki

Pisałem o nim i jego zespole całkiem niedawno, kończąc swój wspomnieniowy esej następującym post scriptum: O czym marzy, nie od dziś zresztą, Roman Pawlaczek? O żadnych wożach - ma ich już w końcu, po tylu latach, dość. O... „powtórce z historii” casus wieczór dinozaurów w pękającej w szwach sali słupskiej orkiestry i teatru AD 1988... - Ze znacznie większym - dodał - bo jubileuszowym (45. rok grupy ST Band lub, prościej, szóstki instrumentalistów i wokalistów Pikusie) rozmachem artystycznym w formie taaakej muzyki, którą wiele lat temu przygotowaliśmy „w zarysach” z Rysiem Skórą i Andrzejem Guzińskim... Wizyty w Słupsku non-stop deklarują „Australijczyk” Piotr Rybicki i „Kanaadyjczyk” Michał Wojtczak. Spodziewam się również dołączenia do nas „Finów” Bogdana Misia i Jacka Mazurkiewicza, Witolda Mroczynskiego i Krzysztofa Szachnowskiego z Niemiec, Grażyny Auguścik z USA oraz innych „bratnich dusz” z kraju i zagranicy...

A było i jest co wspominać! Pozwól Czytelnicy, że odnotuję w tym miejscu - bardzo skrótowo - garść przywołanych zapisów autorskich.

Słupsk stanowił pod koniec szóstej dekady XX stulecia prawdziwą pustynię kulturalną. Nomen omen: sześciu nastolatków (Bogdan Miś, Jan Ponulak, Piotr Rybicki, Ryszard Skóra, „Leonardo” Szymendera, no i on - R. Pawlaczek; trochę później także Ryszard Kłorek) „wygospodarowała” więc

sobie lokum na muzykowanie w klubowych... pomieszczeniach piwnicznych Pod Rybką - własność Centrali Rybnej MHD przy Filmowej. Ich zespół ST-43 wnet stał się ulubieńcem fanów jazzu i rocka.

Szczyty popularności zaczęli osiągać - wiem z autopsji! - w dziesiątkach renomowanych przeglądów i konkursów studenckich. Od 1971 jako podopieczni Domu



Kultury Kolejarza (stąd nowa nazwa wzięta z... superparowozu ST-44) i w zmienionym składzie (Włodzimierz Jarocki za Misia, Michał Wojtczak za Ponulaka, Zbigniew Żukowski za Szymenderę). Ważniejsze sukcesy? Złoty Antał w Olsztynie'77 (z premiami zbiorowymi i osobistymi gratyfikacjami Czesława Niemena). No i, w tym samym

w Kanadzie. Rybicki osiedlił się z rodziną przy... reszcie rodziny w Adelajdzie, stamtąd zaś - w Sydney. Jarocki znalazł metę u Finów w sąsiedztwie krainy wiecznych lodów(!). C'est la vie! - zdaniem wiekowych Francuzów.

Tylko Pawlaczek „nie złożył broni”. On (jak Mazurkiewicz - maestro gry na

Fot. Archiwum prywatne RP

Fot. Archiwum prywatne RP

muzykujących dinozaurów

gitarze, ale i na saksofonie, harmonijce ustnej, ba! także w wokalu, kompozytorstwie) ze świeżo zjednanym perkusistą Januszem Szwczukiem spróbował jeszcze koncertowych wędrowek do Berlina, Lipska, Drezna i dalej, do Finlandii (od Helsinek aż hen, po Koło Podbiegunowe). Potem, z zaprzyjaźnionymi muzykami gdańskimi, zrobił naprawdę ostatni zagraniczny skok (do RFN) w charakterze „klezmera”. Finis...

Pozory. Z „szaleństw” Pro Musica Omnia wcale bowiem nie zrezygnował. Dzięki objęciu w 1988 roku funkcji kierownika działu muzycznego i studia nagrań tuższego Młodzieżowego Centrum Kultury „wcielił się” w animatora (z pomocą dwójga instruktorów) sześciu - tak, tak - szkółek

Teatru Rondo. Jej przebieg? Trudny do zrekapitulowania w zwięzłej informacji dziennikarskiej.

Działo się, oj działo! - powiedziałyby Jurek Owsiak. Jubileuszowa impreza trwała z górą sześć godzin (!) i zakończyła się, wbrew przyjętym regułom, nie o dwudziestej drugiej a kilkanaście minut po północy. Gospodarz (dyrektorka MCK) i patron honorowy tego happeningu, by nie wspominać już o samym beneficencie, skierowali bardzo dużo pochlebnych słów (cyt. za Anną Maćkowiak i Maciejem Kobylińskim: „spiritus movens”, „wyróżnienie urzędu w konsekwencji... bezdyskusyjnej i upartej publicystyki”) pod naszym (redakcji w moim odczuciu) adresem. Miłe, co tu kryć.

Niemal w pełni. Z wyjątkiem poniekąd niektórych „cudzoziemców”: Piotra Rybickiego (był w Słupsku onegdaj), Michała Wojtczaka (złoty go choroba), Leonarda Szymendery (komplikacje osobiste), Wita Mroczyskiego i Krzysztofa Szachnowskiego (umowne koncerty za granicą). Grażyna Auguścik zadeklarowała, że „odrobi stratę” występem w rodzinnym mieście 4-5 tygodni później.

Każde z nich oczekuje teraz niecierpliwie od beneficjanta nagrań DVD z wieczornicy, o której mowa. I przyrzeczonych im relacji prasowych.

Cieszysz się? Też pytanie! Nic dodać, nic ująć temu, co ze skrywaną łezką w oku powiedział Jan Ponulak: Oby tak częściej. Lata



koncertowo-wokalnych i zespołów rockowych. Fakt, który mówi za siebie: „rejestr” MCK ewidencjonują blisko 750 „wychowanków” Pawlaczka, w dużej części późniejszych studentów Akademii Pomorskiej bądź Akademii Muzycznej w Gdyni. - Panu Romanowi - wtrąca dyrektor Anna Maćkowiak - zawdzięcza też swoje życiowe kariery i laury wiele znanych piosenek, m.in. Natalia Sikora, Karolina Rumaczyk („The Voice of Poland”), Ada Kalska (serial „Sama słodycz”), Dominika Macedońska (19-letnia „wschodząca gwiazda” naszej estrady).

Przysłowiowa kropka nad „i”: Daję to - skonstatowałem - pod rozwagę Panu Prezydentowi oraz innym „urzędowym” sponsorom kultury i sztuki.

Odzew nadszedł w błyskawicznym wprost tempie. Były prezydent Słupska Maciej Kobyliński zaledwie parę dni po ukazaniu się czasopisma „Powiat Słupski” i koszańskiego „Miesięcznika” przyjął patronat nad benefisem 45-lecia pracy twórczej szefa Pikusiów i - nie tylko.

Uroczystość odbyła się w szczelnie wypełnionej (150 osób!) sali widowiskowej

Na resztę, przeogromną resztę pochwał zasłużyli bez wątpienia: wspaniały „spiker” Marek Rogala (nb. twórca Radia Vigor), „głosiciel” okolicznościowej laudacji

- znany muzyk i kolega beneficjanta od ławy szkolnej Aleksander Tłuchowski, no i wszyscy wykonawcy tzw. części artystycznej o - r o z r y w k o w e j. Członkinie Chóru ZNP Jolanty Otwinowskiej, solistki bohatera wieczoru - Dominika Macedońska (cudowna wprost „Jesień” z zestawu do płyty RPI), Ada Ambroszczyk i Anna Müller, wreszcie prawdziwi mistrzowie gry na ulubionych przez siebie i budzących przysłowio- wy dreszcz emocji instrumentach - Jacek Mazurkiewicz, Maciej Dzierżawski, Andrzej Wójcik and company.

To trochę młodsza (?..) generacja bractwa z ST. A czy dopisali „pionierzy”?

przecież diablo prędko, jak się przekonaliśmy, umykają...

Szczęściarz z jubilatą. Trafił w sedno tekstem jubileuszowej piosenki: Spotkamy



Fot. Archiwum prywatne RP

się kiedyś w studni... W świat uwierzmy z powrotem... I (może) będziemy znów tacy młodzi...

Ani chybi ziściło się we wspomnianym wyżej dniu!

Jerzy R. Lissowski, Słupsk

Norwegowie znają Polskę i z podziwem mówią o dokonaniach i bogactwie naszego kraju. Dziwi ich jednak fakt dużej emigracji zarobkowej młodych Polaków

Dobrobyt Norwegów jest widoczny

Otrzymałem zaproszenie do Norwegii od mojego ucznia, absolwenta Technikum Leśnego z Warcina. Artur Malek mieszka już od pięciu lat w Bergen, uczęszczał na kurs języka norweskiego, obecnie nie pracuje w swoim zawodzie, ale dobrze zarabia i zadomowił się tam na stałe. Mimo że ma rodzinę na Pomorzu, jest z natury samotnikiem, wędkarzem, a także zapalonym podróżnikiem. Te cechy są istotne do życia na obczyźnie, szczególnie w warunkach zachodniej Norwegii. Wynajmuje mieszkanie i odkłada korony norweskie na powrót do Polski - na realizację swoich życiowych marzeń. Odnalazł mnie po latach i razem z kolegą ze szkoły kupili dla mnie bilet na samolot z Warszawy do Bergen.

Wyleciałem z największego polskiego lotniska im F. Chopina. Piękna pogoda, brak chmur i silne słońce dały możliwość podziwiania „z lotu ptaka” naszego cudownego kraju. Piękne stewardesy pomogły mi w ustaleniu korytarza powietrznego lotu do Bergen. Mijaliśmy polskie wybrzeże - żółte, piaszczyste plaże między Ustką a Kołobrzegiem i lecieliśmy dalej nad Bałtykiem na wysokości 11,5 tys. metrów w chmurach białych jak puch. Następnie lecieliśmy wzdłuż skandynawskiego południowego wybrzeża, kierując się na daleki zachód do Bergen. Z ciemnych, deszczowych chmur, po dwóch godzinach lotu wyłoniły się słynne fiordy - głęboko wrzynające się w ląd wąskie zatoki o bardzo skalistych brzegach. Deszcz lał strugami, samolot obniżał wysokość, widoczność stała się prawie zerowa i zastanawiało pytanie: jak w takich warunkach można odnaleźć pas do lądowania? Polski pilot był jednak bezbłędny. Gładko posadził samolot na płycie lotniska Flesland. Wokół widoczny był tylko skalisty

krajobraz i ciężkie, deszczowe chmury. Są to południowe okolice Bergen, do centrum miasta mieliśmy jeszcze około trzydziestu kilometrów. Mój gospodarz - Artur przyjechał po mnie autem na lotnisko i po serdecznym przywitaniu pokazał peryferie drugiego największego miasta norweskiego. Przebiliśmy się przez system tuneli i dróg na kraniec północno-wschodni aglomeracji berneńskiej do dzielnicy Ytre Arna nad głęboko wrzynającym się Sørfor- den. Brzeg fiordu, mimo dużej pochyłości, posiada wzdłuż stoku dwie wąskie uliczki, przy których stoją pięknie zagospodaro-

Oglądałem przeciwległy brzeg fiordu należącego do jednostki administracyjnej Osteroy. Są tam wioski o tej samej zabudowie, domki drewniane z działkami przydomowymi, położone na tarasach przy wąskich i krętych drogach, małe pastwiska dla owiec i nieliczne zadrzewienia. Wszystko to osadzone w skalistym krajobrazie gór.

W wodach fiordu prowadzi działalność duża farma hodowli łososia. W nocy wygląda bajecznie, jak oświetlona jaskrawymi żarówkami choinka obejmująca iluminacją całe pobocze góry. Następne dni przeznaczamy na zwiedzanie zabytkowe-



wane, jednorodzinne drewniane, kolorowe domki z kościołem, też drewnianym, z całą infrastrukturą komunalną i urbanistyczną. Każdy kawałek wolnego terenu na stokach gór, pozbawiony skał, jest zagospodarowany i użytecznie wykorzystywany.

go i historycznego miasta. Bergen w latach 1217 - 1299 było stolicą Norwegii, później największym miastem Hanzy. Przekształciło się z osady rybacko-kupieckiej o tysiącletniej historii w najważniejsze miasto i duży ośrodek gospodarczy. Obecnie liczy

265,3 tys. mieszkańców. Sukces zawdzięcza wyjątkowemu położeniu na styku Morza Północnego i Norweskiego. Miasto zostało zlokalizowane na krańcu Byfjordu, wciśnięte między skaliste przylądki. Port bergeński, największy w Norwegii, stanowi okno na świat, a dokładnie są to „Wrota dla całej Skandynawii”. Dzięki prądowi zatokowemu, zwanemu Golsfstrømmen, port nie zamarza nawet w czasie surowych zim, które w głębi łądu skuwają mrozem na wiele miesięcy wnętrza górskich obszarów. Tam jest położony najbliższy lodowiec Folgefonna wznoszący się pomiędzy Bergen i Stavanger, gdzie latem uprawia się narciarstwo zjazdowe. Jest on częścią jednego z dwudziestu pięciu parków narodowych w Norwegii i siedzibą Ośrodka Letnich Sportów Zimowych. Bergen od strony łądu otacza skalisty amfiteatr górski ze szczytami Lovstaken, Ulriken i Floyen. Na dwa ostatnio wymienione szczyty można dotrzeć kolejką linowo-terenową, skąd można oglądać panoramę historycznego miasta, które jest nazywane bramą do krainy fiordów.

Powracam jednak do najbardziej zabytkowej dzielnicy w Bergen - Bryggen, która od 1979 roku jest zapisana na liście Światowego Dziedzictwa Kulturowo - Przyrodniczego UNESCO. Bryggen, po norwiesku „nadbrzeże”, reprezentuje szereg hanzeatyckich budynków handlowych. Zbudowane są drewniane i tworzą unikatową architektonicznie pierzeję domków położonych nad zatoką Vagen, zwróconych do niej szczytami swoich budynków. Chodniki i wąskie uliczki między domkami są również wykonane z drewna. Kolorowe domki pełnią obecnie po odrestaurowaniu funkcje typowo turystyczno - handlowe: są to sklepy z pamiątkami, restauracje, puby, mieszczą się w nich też wystawy i galerie malarskie. Obok, przy samym bulwarze, znajduje się słynny Targ Rybny - Fisketorget. Pod gołym niebem każdego roboczego dnia można kupić tu świeże ryby z okolicznych połowów, zjeść rybne przetwory i zobaczyć, jakie bogactwo tkwi w zasobach morskich i oceanicznych.

Zwiedziłem m.in. rezydencję królewską z Salą Haakona, zbudowaną w latach 1247 - 1261. Obok, na wzgórzu znajduje się wieża obronna Rosenkrantz, pochodząca z lat siedemdziesiątych XII wieku. Wieża była wielokrotnie rozbudowywana i miała demonstrować siłę panującego wobec nieustępliwych kupców hanzeatyckich. Bergen posiada liczne zabytkowe kościoły, najstarsze pochodzą z dwunastego i trzynastego wieku, między innymi Mariakirken w stylu romańskim i Katedra św. Olafa - Domkirken. Godne zwiedzenia jest Muzeum Edvarda Griega (1843 - 1907), nazywanego w Europie Chopinem Północy, w Troidhaugen. Jest to dom największego norweskiego kompozytora, który tu mieszkał i tworzył przez dwadzieścia dwa lata. Najbardziej znane jego utwory muzyczne

powstały w małej altance nad brzegiem jeziora Nordas. Można również odwiedzić wykuty w skale grób, miejsce pochówku kompozytora i jego żony, Niny.

Niedaleko Troidhaugen znajduje się zabytkowy, o ciekawej formie, kościół drewniany Fantoft. Jest to obiekt o regionalnej architekturze, zbudowany w 1150 roku w Fortun w Sogn i w 1883 roku przeniesiony do Fantoft. Po pożarze w 1992 odbudowany w zachowanym stylu, reprezentuje unikalne bogactwo sakralnej architektury norweskiej.

Godne odnotowania jest Akwarium Bergen. Nowoczesna ekspozycja z żywymi okazami m.in. fok, pingwinów, stanowi jedną z największych kolekcji fauny mor-

dokonaniach i bogactwie naszego kraju. Dziwi ich jednak fakt dużej emigracji zarobkowej młodych Polaków. Norwegia z biednego kraju, zamieszkałego przez przeszło cztery miliony mieszkańców, w wyniku odkrytych bogatych złóż ropy naftowej przeobraziła się w jedno z najbogatszych państw europejskich. Przeżywa boom gospodarczy i koniunkturę dużych inwestycji. Wszędzie widać place budów i potężne rozwiązania inżynierskie - niezliczoną ilość tuneli, mostów, nadbrzeży, doków itp. Kraj się zmienia i potrzebuje rąk do pracy, szczególnie pracowników z kwalifikacjami. Norwegia nie należy do Unii Europejskiej i nie płaci składek, jest samowystarczalna, popiera rodzime rolnictwo częściowo do-



skiej Europy. Bergen posiada liczne muzea, na wyróżnienie zasługuje Muzeum Hanzeatyckie. Jest najstarsze w Norwegii, powstało w 1872 roku. Za 50 koron można odbyć tu prawdziwą podróż w czasie. Wszystko przypomina świetność Bergen z czasów miasta historycznego. Zachowane zostały detale: krzywe sufit, drewniane podłogi, zapach ryb i smoły. Przewodnicy z długimi brodami przypominają prawdziwych wikingów.

W zabudowie Bergen ciągle przeplatają się obiekty historyczne, ale jest też architektura na wskroś nowoczesna, modernistyczna. W krótkim czasie nie można wszystkiego zobaczyć i pozostaje ponownie odwiedzić to ciekawe miasto. Żyje tu też spora diaspora polska, przy występowaniu zróżnicowanych innych grup obcokrajowców. Jest to miasto o charakterze międzynarodowym. Polacy podejmują się wykonywania najcięższych prac. Pracują m.in. na platformach wiertniczych i zarabiają tutaj duże kwoty. Pracują też w rozwijającym się w dużym tempie budownictwie, w inwestycjach publicznych, w transporcie, w rybołówstwie. Są poszukiwani jako kierowcy w komunikacji lokalnej do prowadzenia autobusów na wąskich i krętych drogach wśród fiordów. Norwegowie znają Polskę i z podziwem mówią o

tując wytwarzaną żywność, rozwinęła na skalę przemysłową hodowlę łososia. Łosoś to potrawa narodowa sprzedawana w różnych postaciach, tak samo jak mięso z renifera i produkty z owiec. Ryby dominują w jadłospisie Norwegów, głównie gatunki oceaniczne oraz wszelkie „owoce morza”. To kraj pogodnych mieszkańców, odważnych żeglarzy i pracowitych ludzi. Dobrobyt Norwegów jest widoczny. Posiadają wolno stojące drewniane domki, co kilka lat starannie odmalowane. Prowadzą osiadły i rodzinny tryb życia, a ich pasję to uprawianie masowo wszelakich dyscyplin sportowych - letnich i zimowych.

Mój kilkudniowy pobyt w Norwegii szybko dobiegł końca. Pożegnałem się z Bergen, które podbiło moje serce. Pożegnałem się z Arturem odnalezionym po wielu latach na obczyźnie. Na jego pogodnej twarzy widać było wzruszenie, kiedy mu dziękowałem za serdeczne spotkanie, za jego staropolską gościnność i pamiątki, jakie otrzymałem na drogę, a szczególnie za wiedzę o Bergen i to, że chciał być moim przewodnikiem.

Włodzimierz Lipczyński, Słupsk

Ps. Z okazji zbliżających się Świąt Bożego Narodzenia i Nowego Roku 2015 przekazuję czytelnikom życzenia po norwiesku: „Gud Jul og et godt nytt aar”.

Moja droga do szkoły

Mam szczęście do obu moich szkół - trafiłem do takich, które nie tylko solidnie zapisały się w historii najpierw Stolpu, a potem Słupska, ale też są znakomicie rozpoznawalne



Fot. W.M. Wachniewski

Pierwsza (i starsza) z nich - słynna „Jedynka” im. H. Sienkiewicza - od ponad wieku stoi (...choć nie zawsze jako szkoła) całkiem niedaleko od mojego domu, ale do drugiej - nie mniej słynnego II Liceum Ogólnokształcącego im. Adama Mickiewicza - trzeba ode mnie iść aż pięćmi ulicami: Karola Szymanowskiego, Ignacego J. Paderewskiego, Ogrodową, Deotymy i Adama Mickiewicza. Również one mają swoje miejsce w dziejach miasta.

Przy pierwszej ulicy, zwanej swego czasu Schlachthofstrasse, przez długi czas znajdowała się miejska rzeźnia. Mieszkam tu już 51 lat i dobrze pamiętam czasy, kiedy pojawienie się jakiegokolwiek samochodu stanowiło dla nas coś w rodzaju wydarzenia.

Druga zapisała się w dziejach Słupska raczej humorystycznie, bowiem zwana przez Niemców Weidenstrasse, po zajęciu miasta przez oddziały sowieckie w marcu 1945 roku - otrzymała imię bliżej niezidentyfikowanego „Generała Pankowa”, którego podobno trudno znaleźć w historii działań wojennych akurat w tej części Pomorza. Jakkolwiek tam było z tym generałem, przy jego ulicy mieściła się niegdyś pewna słupska fabryka (najśłodsza i szeroko znana).

Trzecia ulica była mniejszą z dwóch Gartenstrassen w granicach Stolpu. Dziś mieści się tu m.in. znana swego czasu hala bokserska, która ostatnio - dzięki mądrym ludziom z pomysłem - ma szansę ożyć na nowo. Z upływem lat ulica zmieniała się na lepsze, za sprawą wybudowanego przy niej, i do niedawna wcale prężnie działającego hotelu, a przede wszystkim nowego osiedla w postaci jednego, wysokiego i wygiętego w kształt nieco zdeformowanej biurowej zszywki budynku. Głównym elementem charakterystycznym tej ulicy są jednak od dawna ogródki działkowe.

Przy czwartej (Wollmarktstrasse) w roku 1897 powstała słynna szkoła, pierwsza z trzech, jakie wybudował za swej kadencji najślawniejszy niemiecki burmistrz miasta. Polska patronka tej ulicy nawiązała m.in. „Panienkę z okienka”. W ostatnich latach ulicą tą zawładnęła wizualnie wielka galeria handlowa, zimną stanowiącą spore udogodnienie dla zziębniętych słupszczan - nie muszą już wędrować w trzaskający mróz po wertepach, jak dawniej bywało, chcąc przedostać się na starszą i trochę bardziej znaną, a dziś pełną sklepów ulicę J. Tuwima.

O tym, że piąta (Friedrichstrasse) jest de facto zorientowana geograficznie i prowadzi z południa na północ, dowiedziałem się... przypadkiem, już parę lat po maturze (!), patrząc na jej skrzyżowanie z Bahnhofstrasse na starej mapie w Czytelnicy Słupskiego Archiwum. Wcześniej znacznie bardziej interesowało mnie, któremu z kilku znanych mi ważnych niemieckich Fryderyków (pierwszy z nich to na pewno słynny król Prus, Fryderyk II, nazwany Wielkim - m.in. kompozytor jednego z mniej znanych, choć pięknych muzycznie marszów; drugi - to Caspar D. Friedrich, artysta-malarz, za którym przemawiali patroni sąsiednich ulic - pisarze i poeci; trzeci wreszcie - to nieszczęsny

Cesarz Fryderyk III, któremu dane było panować ledwie kilka tygodni w słynnym Roku Trzech Cesarzy (1888) była poświęcona?... Jeszcze wcześniej ważne było to, by w drodze do szkoły rzucić okiem na witrynę mijanej księgarni - co tam nowego z tzw. „rzeczy morskich”?... Księgarnia ta istnieje w tym miejscu do dziś; o tym, że w jej



Fot. W.M. Wachniewski

obecnej siedzibie mieściła się podobno „za Niemca” redakcja faszystującej gazety - też wiem (choć od niedawna). Naprzeciw, a raczej po przekątnej wspomnianego skrzyżowania z dawną Bahnhofstrasse mieści się jedna z dwóch znanych mi księgarni językowych, która swego czasu „wędrowała” po dawnej Bahnhofstrasse i ulicy Fryderyków, a póki co zajmuje lokal po byłym sklepie rybnym. Z młodszych lat pamiętam (wspamiętałem i straszne) ryby i potwory morskie,



Fot. W.M. Wachniewski

wymalowane na kaflach jednej ze ścian owego sklepu.

Każda z tych ulic jest mi w jakiś sposób bliska i każdą z nich bardzo lubię. Kiedy w 1989 roku wpadł mi w ręce aparat fotograficzny i kiedy zacząłem portretować miasto - przeszedłem się parokrotnie opisaną drogą, pstrykając zdjęcia co pewien czas. Pierwszy zapis powstał na przeźroczkach, dołączone (cyfrowe) zdjęcia pochodzą z najnowszego zapisu starej trasy.

Wojciech M. Wachniewski, Słupsk



KIERMASZ BOŻONARODZENIOWY

SŁUPSK, GRUDZIEŃ 2014

DPS PRZYTOCKO
PRACE WYKONANE PODCZAS
ZAJĘĆ TERAPEUTYCZNYCH
W PRACOWNI TKACKIEJ.

